Numer jubileuszowy.

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 20 czerwca 1908. Nr. 25.

60 lat na Tronie.



Numer zawiera **szereg zdjęć z pochodu jubileuszowego w Wiedniu:** „Krakowskie wesele" „pochód odsieczy Wiednia z królem Sobieskim" „pawilon cesarski" i wiele innych grup.

60 lat na Tronie.

Z nad Wisły i z nad Zbrucza, z głębokich lasów Bukowiny, z zakątków uroczego Tyrolu i z nadmorskiej Dalmacyi — zewsząd, z całej prawie Przedlitawii, pospieszyły w ubiegły tydzień tysiączne tłumy wielojęzycznej ludności do Wiednia, by złożyć u stóp sędziwego Monarchy-jubilata wiernopoddańcze hołdy, by zamanifestować w uroczysty sposób uczucia radości i gorącego przywiązania.

Bo zaiste bardzo niezwykły jest ten jubileusz monarszy, jak niezwykłą jest i niepowszednią cześć i miłość, otaczająca cesarza i króla Franciszka Józefa I. Łagodnością charakteru i zadziwiającą dobrotliwością, serdecznem umiłowaniem prawdy i pracy, a także tem mnóstwem bolesnych ciosów i najstraszniejszych przejść, które na głowę Jego raz po raz się waliły, zjednał sobie cesarz austryacki te uczucia wśród poddanych.

I dziś, kiedy upływa lat sześćdziesiąt Jego rządów, kiedy po latach burz i zawieruch wszelakiego rodzaju, błogie nastąpiły lata pokoju, zwracają się ku Tronowi umysły i serca milionowych rzesz z szczerem i serdecznem pragnieniem, by rządy cesarza i króla Franciszka Józefa w jak najdłuższe jeszcze lata trwały dla dobra krajów i poddanych.

Z życia monarchy-jubilata.

Monarcha Austro-Węgier urodził się 18 sierpnia 1830 r., jako najstarszy syn arcyksięcia Franciszka Karola, młodszego brata cesarza Ferdynanda, oraz księżniczki Zofii bawarskiej. Wychowywał się i kształcił pod kierunkiem hr. Henryka Bombelles i hr. J. Coronini, a przy współudziale kilku bardzo wybitnych sił nauczycielskich. Wiadomości z zakresu sztuki wojennej udzielał mu pułkownik Hauslab, wybitny teoretyk.

Rządy państwa spadły nań niespodziewanie. Stało się to w dniu 2-go grudnia 1848 r., gdy ówczesny cesarz Ferdynad I. zgłosił abdykacyę, brat zaś jego, a ojciec Franciszka Józefa, zrzekł się następstwa. Ogłoszony pełnoletnim, a następnego dnia cesarzem, rozpoczął panowanie w czasach ogromnie burzliwych i niespokojnych, w czasach powszechnej niepewności. Rewolucya w Wiedniu, powstanie Węgrów, dążności separatystyczne Włoch — wszystko to zdawało się grozić upadkiem i zagładą całości monarchii, tem bardziej, że był to rok rewolucyi powszechnej, rok „wiosny ludów".

Młody, 18 letni monarcha, nie ugiął się pod ciężarem przerastających niemal siły jego zadań, lecz stawił im śmiało czoło. Pokonał powstanie Węgrów, zwyciężył armię włoską, uspokoił także rewolucyę w obrębie granic państwa. Nie było to oczywiście spełnieniem wszystkich zadań, ale w każdym razie wzmocniło zachwiane stanowisko monarchii i pozwoliło zwrócić uwagę na niemniej gwałtownej reformy wymagające wewnętrzne sprawy. I kiedy ostatnie trudności z zakresu polityki zewnętrznej zostały rozwiązane, po wojnach z Włochami i Prusami, przystąpił monarcha do zasadniczej przemiany formy rządów w państwie z absolutystycznej na konstytucyjną.

Monarchia austryacko-węgierska stanowi odtąd mocarstwo pierwszorzędne w Europie, złożone z dwu równouprawnionych części: Przedlitawii



Cesarz Franciszek Józef I.

i Zalitawii, z dwoma parlamentami i dwoma rządami. Jasną jednak jest rzeczą, że państwo zamieszkałe przez tyle różnorodnych, przeważnie wrogo względem siebie usposobionych narodowości i to narodowości w szybkiem tępie się emancypujących i konsekwentnie dążących do uchylenia przewagi niemieckiej, narażone jest nieustannie na burze i zatargi wewnętrzne, którym zapobiedz może tylko osobista interwencya ogólną czcią otaczanego cesarza.

Jego powaga i rozum polityczny chroni monarchię od zgubnych rozterek i zapewnia jej stały, coraz wspanialszy rozwój. A wśród ludów, które z szczególną ufnością spoglądają na postać sędziwego cesarza i króla, które wierzą, że pod Jego rządami będą się mogły spokojnie rozwijać i z wiarą patrzą w przyszłość, pierwsze miejsce zajmuje naród polski, w tej dzielnicy dawnej Rzeczypospolitej wyposażony w zupełną swobodę polityczną i narodowościową.

Dzięki temu postęp i rozwój, który stał się udziałem Galicyi od czasu ery konstytucyjnej, od czasu nadania temu krajowi autonomii, posuwa się w szybkiem tempie naprzód. Na polu przemysłowem i handlowem, na polu oświatowem, sanitarnem, dobroczynności publicznej, a przedewszystkiem politycznem, wykazuje Galicya w ciągu ostatnich czterdziestu lat ogromny, uderzający postęp. Nie podobna tu wchodzić w każdy szczegół, który mógłby to udowodnić; byłoby to zresztą zbyteczne, bo wszystko to się widzi. Jeżeli zaś pojawiają się niejednokrotnie skargi, zupełnie zresztą uzasadnione, na pewne lekceważenie dalszych potrzeb kraju naszego ze strony rządu, to powodów szukać należy wśród centralistycznej biurokracyi niemieckiej, która radaby jedynie niemieckie kraje protegować, z krzywdą innych narodowości. Nie można ich zaś żadną miarą odnieść do osoby Monarchy, który z jednakowemi uczuciami odnosi się do wszystkich swych krajów i ludów, a niejednokrotnie dawał dowody, iż interesuje się losami i rozwojem Galicyi i że mu ten rozwój gorąco leży na sercu.

Z tego też powodu społeczeństwo nasze odnosi się do cesarza Franciszka Józefa z najzupełniejszą ufnością, a reprezentacya polska w Wiedniu należy do klubów parlamentarnych, które nigdy nie odmawiają swego *votum* koniecznościom państwowym.

Nietylko jednak Galicya i społeczeństwo polskie otacza monarchę Austro-Węgier miłością. Tem samem uczuciem są przejęte wszystkie ludy, państwo zamieszkujące. To też żaden może władca w świecie nie czuje się tak spokojnym i tak bezpiecznym wśród poddanych, jak właśnie cesarz Franciszek Józef I. Nie ma prawie dnia, by sędziwy monarcha nie przejeżdżał przez ulice swej rezydencyi w otwartym powozie — o ile na to pogoda pozwala — bez specyalnych straży, bez jakichś nadzwyczajnych środków ostrożności. Także wówczas, kiedy wyjeżdża po za granice Wiednia, do któregoś z krajów koronnych, dostojnej osoby jego strzeże tylko miłość i wierność poddanych.

Podczas kilkakrotnych jego pobytów w Galicyi, ludność kraju miała najlepszą sposobność przekonać się o tem, a każdy, biedny czy bogaty, mógł sędziwego monarchę widzieć z bliska, nie tylko jadącego w powozie, ale i pieszo idącego, tak samo bez straży i bez zbrojnej ochrony.



Główna brama »Burgu« (zamku) cesarskiego w Wiedniu.

Z dziecinnych lat.

O latach dziecięcych dzisiejszego Monarchy-jubilata krążą niezliczone opowieści i dykteryjki. Wśród nich najbardziej może popularną jest przygoda z szyldwachem w Laxenburgu. Trzyletni podówczas arcyksiążę Franciszek Józef, wyszedłszy na przechadzkę w towarzystwie dziadka, cesarza Franciszka I., zauważył w bramie

szyldwacha w pełnym mundurze, oddającego przechodzącym arcyksiążętom przepisane honory. Podobało się to niezmiernie dzieciakowi, uprosił tedy otoczenie, by mu pozwolono wręczyć służbistemu żołnierzowi złotą monetę. Nasunęła się przy tem pewna trudność. Jak wiadomo bowiem, żołnierzowi pełniącemu obowiązek szyldwacha, nie wolno od nikogo i pod żadnym warunkiem nic przyjąć. Wyjście poddał trzyletniemu arcyksiążątku cesarz Franciszek, doradzając mu, by monetę ową wrzucił szyldwachowi do ładownicy. Że jednak



Portret cesarza Franciszka Józefa I. z r. 1844.

przyszły monarcha Austro-Węgier był podówczas bardzo malutkim i o własnych siłach ładownicy, wysoko na rosłym żołnierzu umieszczonej, dosięgnąć nie mógł, przeto dziadek podniósł go w górę i dopiero w ten sposób umożliwił dzieciakowi spełnienie zamiaru.

Na polu walki.

Rok 1848 ważnym jest w życiu cesarza Franciszka Józefa nietylko z powodu objęcia rządów państwa, ale i z tego powodu, iż przeszedł podówczas chrzest wojenny. Jako arcyksiążę został wysłany na pole walki we Włoszech, gdzie słynny dowódca armii austryackiej, Radetzky, odniósł właśnie szereg zwycięstw. Stary wódz nie bardzo był zadowolony z przybycia arcyksięcia, wiedział bowiem, iż ewentualność objęcia przezeń rządów jest



Dzieci arcyksięcia Franciszka Karola w Laxenburgu; obecny monarcha, cesarz Franciszek Józef, oraz jego rodzeństwo: Ferdynand Maxymilian, Karol Ludwik i Anna Marya Pia.

bardzo możliwą, że tedy musi bacznie czuwać nad bezpieczeństwem jego osoby, co wobec obowiązków, połączonych z naczelną komendą armii, a nadto wobec groźnej sytuacyi na polu walki, nie było mu wcale na rękę. Przedstawienia Radetzky'ego jednak, by młody arcyksiążę opuścił wogóle niebezpieczny teren, a przynajmniej trzymał się jaknajdalej od bitwy, były zupełnie bezowocne. Arcyksiążę Franciszek Józef, gdy nadszedł decydujący moment bitwy pod Santa Lucia, znajdował się w pierwszych szeregach, narażony na straszne skutki gęsto padających pocisków. Była nawet chwila istotnie bardzo niebezpieczna, gdy w oddaleniu kilkunastu kroków padł granat i z hukiem eksplodował, zabijając kilku żołnierzy. I to jednak nie odstraszyło dzielnego arcyksięcia, wytrwał też na stanowisku do ostatniej chwili.

Od tego czasu cieszy się monarcha opinią nieustraszonego wojownika, jest też we wszelkich sprawach wojskowych ogromnie zamiłowany i sprawom tym najwięcej uwagi poświęca.

Z tego powodu też bierze zawsze osobiście udział w dorocznych wielkich manewrach poszczególnych korpusów. Manewry te odbywają się każdego roku w innej stronie monarchii, dokąd cesarz w otoczeniu swem wyjeżdża i z niekłamanem zainteresowaniem śledzi przebieg ćwiczeń, by następnie wyrazić o nich swoją opinię.

Zamiłowanie cesarza do spraw wojskowych objawia się także w sposobie jego ubierania się, gdyż jak wiadomo, monarcha austryacko-węgierski chodzi stale w mundurach wojskowych, strojów cywilnych zaś nigdy nie używa.



Cesarz Franciszek Józef I. jako trzyletni chłopak wrzuca do ładownicy szyldwacha w Laxenburgu monetę.



Portret cesarza Franciszka Józefa I. z r. 1848.

Cesarz jako myśliwy.

Powszechnie jest znane zamiłowanie cesarza Franciszka Józefa I do sportu myśliwskiego. Polowanie należy od dłuższego szeregu lat do najbardziej ulubionych rozrywek monarchy. Szczególniej często wyjeżdżał do miejscowości Eisenerz w Styryi, gdzie ma swe posiadłości, pokryte głębokimi lasami, pełne zwierzyny. Do niedawna jeszcze z całym zapałem zapuszczał się na najwyż-

sze i strome szczyty gór w pościgu za kozicami. Dopiero od dwu lat lekarze zabronili cesarzowi tego rodzaju niebezpiecznych wycieczek, zdrowie bowiem sędziwego monarchy mogłoby wskutek tego poważnie ucierpieć.

Cesarz protektor sztuk.

Nieocenione są zasługi osobiste cesarza Franciszka Józefa około rozwoju sztuk pięknych i nauk w Austryi. Jest on ich hojnym protektorem. Z własnych funduszów założył w Wiedniu dwa wspaniałe muzea: przyrodnicze i sztuki. Ponadto utrzymuje nadworny dramat i operę nadworną, dopłacając na utrzymanie tych instytucyj przeszło trzy miliony koron rocznie, wyłącznie z własnych funduszów.

Wspomnieć wreszcie należy, że dzięki dobrotliwości monarchy naród nasz odzyskał skarbnicę pamiątek narodowych, nasz prastary zamek wawelski w Krakowie. Zamek ten po odrestaurowaniu, do czego cesarz przyczynia się roczną subwencyą w wysokości stu tysięcy koron, będzie stanowić po wieczne czasy własność narodu polskiego.

W codziennem życiu.

Mimo tak bardzo wysokiego stanowiska, mimo olbrzymich bogactw, które są odwieczną własnością rodu Habsburgów, cesarz Franciszek Józef I. prowadzi życie nadzwyczajnie skromne i proste, prawdziwie żołnierskie. Wstaje bardzo wcześnie rano i po przyjęciu lekkiego posiłku, zabiera się do pracy, t. j. do przeglądnięcia przygotowanych dlań aktów i referatów.

Pracę przy biurku, która trwa zwykle kilka godzin, urozmaica wysłuchanie ustnych sprawozdań, z jakiemi zjawia się naprzód generalny adjutant, a dalej dygnitarze dworscy i rządowi. Następuje śniadanie, znowu bardzo pojedyncze i skromne, a dalej przejażdżka powozem do miasta, w danym razie udział w rozmaitych uroczystościach, lub też przejażdżka po parku w Schönbrunie; po powrocie do Burgu załatwia cesarz w dalszym ciągu sprawy bieżące, a dopiero potem poświęca niedługą zresztą chwilę rozrywce swej codziennej, jaką stanowi od szeregu już lat partya taroka w gronie najbliższych przyjaciół.

Także obiady, z wyjątkiem reprezentacyjnych, złożone są z szczupłej ilości dań, a potrawy nie są bynajmniej wyszukane. Dzieje się to z wyraźnego polecenia monarchy, który lubuje się w prostocie życia i któremu obcy jest wszelki zbytek.



Pomnik cesarza Franciszka I. na placu Franciszka w Burgu. Na prawo balkon i okna apartamentów cesarskich i sali audyencyonalnej.

Wcześnie wieczór udaje się monarcha na spoczynek, po spożyciu wieczerzy.

Rodzina.

W życiu swem rodzinnem doznał monarcha austryacko-węgierski bardzo wielu ciężkich przejść.

Ożeniony w kwietniu 1854 z księżniczką bawarską Elżbietą, córką księcia Maksymiliana, kobietą nadzwyczajnej piękności, miał z nią troje dzieci: córkę Gizelę, urodzoną 1856, wydaną za Leopolda, ks. bawarskiego; syna Rudolfa, urodzonego 1858, a ożenionego 1881 z Stefanią, córką króla belgijskiego Leopolda II., oraz córkę Maryę Waleryę, urodzoną 1868, wydaną 1890 za arcyksięcia Franciszka Salvatora.

Pierwszym bolesnym ciosem była śmierć brata młodszego, Maksymiliana I., cesarza meksykańskiego, który w 1867 r. zdala od stron ojczystych, w Ameryce stracił życie w tragiczny sposób.

Jeszcze straszniejszy cios spadł na cesarza Franciszka Józefa w r. 1889, gdy również w sposób tragiczny stracił jedynego, nad wszystko ukochanego syna, następcę tronu, arcyksięcia Rudolfa.

Nie mniej boleśnie odczuł cesarz Franciszek Józef zgon swej małżonki, cesarzowej Elżbiety, która w dniu 10 września 1898 r. została w Genewie zamordowaną przez fanatyka anarchizmu, Luccheniego.

* * *

A jeśli mimo tylu bolesnych, strasznych przejść, jeśli mimo mnóstwa nieszczęść, jakiemi Opatrzności podobało się monarchę austryackiego dotknąć, oparł się rozpaczy i zwątpieniu, to zawdzięcza te nadzwyczajne siły głębokiej wierze i religijności, którą nawskróś serce jego i umysł są przejęte.

Wychowany od lat dziecińśtwa w religii katolickiej, której zawsze dom Habsburgów był wierny, w religii tej jak zawsze tak i teraz szuka pociechy i sił do walki z przeciwnościami.

Zmieniały się stosunki wewnętrzne w państwie, zmieniali się ministrowie i dygnitarze, zmieniali się panujący na tronach wszystkich sąsiednich i dalekich krajów, a cesarz Franciszek Józef I. krzepką swą dłonią wciąż dzierży berło rządów nad monarchią austryacko-węgierską.

Sześćdziesiąt pełnych lat upływa już od chwili, gdy jako młodzieniec objął rządy w państwie, sześćdziesiąt lat trudów i żmudy oraz nieustannych trosk i kłopotów. Więc patrząc na drobną, osiwiałą, ze śladami przeżytych ciosów i bolów postać cesarza Franciszka Józefa, odczuwa się podziw szczery i głęboki dla nadzwyczajnych sił jego fizycznych i umysłowych.



Cesarz Franciszek Józef I. w stroju myśliwskim



Kompania bośniacko-hercegowińskiego pułku piechoty jako warta w Burgu.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Wielohradzcy.

Dwukonna dorożka warszawska pierwszej klasy, wioząca śpiącego młodzieńca, zatrzymała się o świcie przed żelazną bramą pięknej posiadłości wiejskiej. Woźnica żwawo zeskoczył z kozła.

— Panie hrabio, jużeśmy przyjechali — krzyknął nad uchem uśpionego.

Młodzieniec zbudził się, potoczył wokoło nieprzytomnym wzrokiem i mruknął:

— Bodaj cię licho porwało, mój Józefie... przebudziłeś mnie w chwili, gdy na dziewiątkę wygrywałem tysiąc rubli...

— Czy, proszę pana hrabiego, zawołać na ogrodnika, żeby bramę otworzył?

— Nie potrzeba, mam klucz od furtki.

To mówiąc, wyciągnął z kieszeni woreczek, wydobył z niego monetę złotą i wsunął ją w rękę dorożkarza.

— Dymaj teraz czemprędzej na powrót do Warszawy.

Woźnica pokłonił się nisko, poczem wskoczył na kozioł, trzasnął z bicza i wraz z dorożką, unoszoną raźnym kłusem przez parę dzielnych kasztanów, zniknął po chwili w gęstej kurzawie gościńca.

Tymczasem Karol Wielohradzki, w murze okalającym park, otworzył po cichu żelazną furtkę i równie cicho zamknąwszy ją za sobą, stanął na żwirem wysypanej ścieżce. Nie zatrzymał się jednak długo na miejscu, przeszedł bowiem zaraz na trawnik dla zgłuszenia odgłosu własnych kroków. Rozejrzał się wokoło, poczem zwrócił zaspane dotąd oczy w stronę ładnego, murowanego dworu — i nadsłuchiwał.

— Wszyscy śpią jeszcze — szepnął.

Teraz, stąpając ostrożnie, ruszył ku gankowi. Nagle zatrzymał się, jak wryty.

— Ktoś chodzi po domu! — rzekł do siebie w chwili właśnie, gdy już zbliżył się do dwóch granitowych stopni, wiodących na ganek.

Zastanowił się przez moment, potem zwinnie i śpiesznie pobiegł w głąb, wzdłuż lewej, zewnętrznej ściany dworu, zniżającej się coraz bardziej po pochyłości pagórka, na którym dom był wzniesiony. Stanął za węgłem i słuchał. Brzęk, wywołany ostrożnem i cichem otwieraniem oszklonych drzwi salonu, doleciał jego uszu.

— Kto może czuwać o tej porze?! — myślał. Papa śpi zawsze do dziewiątej, a służba wstaje o szóstej... Co się tu dzieje?!

Wychylił się nieco, zakryty jednak gęstym festonem pnącego się po murze dzikiego wina. Na szerokim tarasie, obramowanym kamienną balustradą, który z pod parapetowych drzwi salonu wysuwał się na ogród, dominując nad nim półpiętrową wysokością — ujrzał młodą dziewczynę.

— Moja siostrzyczka ukochana! — mruknął, cofając się za węgieł. Więc to ona tak wcześnie zrywa się z panieńskiego łóżeczka!

Dziwny jakiś, złośliwy uśmiech prześliznął się po jego bladych wargach. Stał, jak skamieniały, nie poruszając się z miejsca. Tymczasem Zofia Wielohradzczanka, wysunąwszy się na taras, z którego prawdopodobnie widać było płynącą w dole Wisłę, podniosła oczy ku jednemu z okien na pierwszem piętrze.

— Patrzy w okno pokoju papy — zauważył Karol.

Panienka, uspokojona prawdopodobnie widokiem spuszczonej story, osłaniającej szerokie szyby okna w sypialni ojca, zaczęła szybko schodzić po stopniach tarasu. Poczem, rozpromieniona jakąś wewnętrzną radością, pobiegła — oblana różowem światłem brzasku — ku murowi, który o kilkaset kroków niżej, u stóp wzgórza, ciągnął się nad Wisłą, wzdłuż piaszczystej drogi, służącej flisakom do holowania galarów i statków, zwanych berlinkami.

Młody człowiek znowu uśmiechnął się złośliwie i wycedził przez zaciśnięte zęby:

— Wątpię, aby wschód słońca interesował tak bardzo rannego ptaszka. Musi w tem być jakaś tajemnica, którą wyjaśnić należy.

Nie namyślając się długo, rozsunął gałązki krzewów w olbrzymim kłąbie, który po pochyłości pagórka zwartą gęstwiną, zaczynającą się przy domu, dosięgał prawie aż do muru nad rzeką — i pod tym ciemnym dachem z liści dotarł do punktu, niezbyt oddalonego od miejsca, w którem zatrzymała się jego siostra. Dziewcze, przejęte jakimś duchowym niepokojem, zdawało się wahać przez chwilę. Wtedy Karol wyszedł po cichu z gąszczu, aby wnet potem zaczaić się znowu niepostrzeżony, pod wysuniętym naprzód olbrzymim jesionem płaczącym, który swymi rozłożystymi konarami, spadającymi do ziemi, zasłonił go zupełnie.

Zosia, cała w myślach pogrążona, wsłuchiwała się w odgłos oddalonych kroków, skrzypiących na piasku za murem. Widocznie nie była pewną, czy osoba, która nadchodzi, jest ową oczekiwaną i upragnioną. Nagle, śliczna jej twarzyczka oblała się gorącym rumieńcem, a w oczach zalśniło szczęście ogromne. Wskoczyła na ławkę kamienną, stojącą pod murem i oparła się białemi rączkami na jego płaskim grzbiecie, pokrytym czerwonemi dachówkami. Wytężyła wzrok i patrzyła na drogę. Po chwili krzyknęła radośnie:

— Ach, Zygmuncie, to ty nareszcie! Myślałam, że już nie przyjdziesz dzisiaj.

Pod murem od strony rzeki stał młody człowiek, kłaniający się panience z wytwornym wdziękiem.

— Droga Zosiu, wiesz przecie, że gdybym cię nie widywał codziennie, choćby tylko przez parę minut, nie miałbym odwagi żyć i pracować...

Wyrazy powyższe wypowiedział on, jakby bezwiednie, głosem wdzięcznym i mile brzmiącym. Poczem zaczął się wspinać lekko i zręcznie po wystających z muru tu i ówdzie cegłach i kamieniach, aby jak najprędzej znaleść się przy Zofii. Ona zaś, chociaż drżąca, ale uradowana widokiem ukochanego, powtarzała pochylając się nad nim:

— Ostrożnie!... ostrożnie!

— Proszę o rączkę.

Podała mu ją bez wahania, on zaś wycisnął na niej gorący pocałunek.

— Drżysz niebogo... niespokojna jesteś i strwożona, jak zawsze. Dlaczegoż w pierś twoją nie mogę przelać mojej ufności i nadziei w przyszłość?! O! gdybyś pojęła, jak czuję się silnym od czasu, gdy wiem, że mnie kochasz! Życie moje, niedawno jeszcze ciężkie i nieznośne, wydaje mi się obecnie lekkie i wesołe. Zosieczko, czyż miłość twoja słabszą jest od mojej?

— Nie, najdroższy. Gdy jestem przy tobie, cały mój niepokój i wszystkie przeczucia smutne rozpraszają się i nikną, bo cię kocham... bo ciebie jednego kocham tylko. Starałam się usilnie pozyskać miłość mojego ojca i brata... lecz napróżno. Serca ich bez litości, zamknięte są dla wszelkich uczuć. Głazy, istne głazy! O, mój Zygmuncie! jakie to okropne nieszczęście utracić matkę!

— Ukochana!

— Przebacz mi, mój drogi, że nieustannie mówię z tobą o mojem sierotwie, o opuszczeniu i osobiętności zupełnej, w jakiej żyłam dotąd i żyć muszę ciągle, o braku tkliwych pieszczot, których łaknę i potrzebuję.. ale w ten sposób wypowiadam ci, jak miłość twoja jest dla mnie błogosławioną, jaką próżnię wypełnia w mojej duszy zbolałej. Za twoją sprawą pojęłam roskosz istnienia. To też dziwić się nie możesz, że drżę i lękam się utracić szczęście, które tobie zawdzięczam.

— Nie miej obawy. Silny twoją miłością cudów dokażę. Pełen zapału, pracuję niemal bez wytchnienia, więc czuję, że do celu niedaleko; widzę w bliskiej przyszłości spełnienie moich życzeń najgorętszych. Kogoż możemy się lękać, jeśli ojciec twój nie myśli nawet o tobie? Za rok, za dwa najdalej, gdy już odzyszczę majątek i znaczenie, przedstawię mu się, odkryję kim jestem i powiem, co uczyniłem, aby cię zdobyć...

— Wówczas dopiero, Zygmuncie, będziemy szczęśliwi... Lecz słońce wzniosło się już wysoko... Więc bądź zdrów, mój drogi... Do jutra!

— Pozwól mi przyjść wieczorem, gdy ojciec z twoim bratem pojadą do Warszawy, a domownicy do snu się ułożą, dziś bowiem mogę śmiało pozostawić babkę moją samą...

— Nie — odpowiedziała Zofia ze zwykłą sobie skromnością — nie, mój najmilszy. Pojmujesz, że tylko w jasności dnia wolno nam się widywać... Do jutra, do jutra zatem.

On ucałował raz jeszcze jej ręce, poczem zeskoczył na drogę i chwilkę stał nieruchomy, wpatrując się w nią z zachwytem. Ona przesłała mu od ust przeciągły pocałunek i pobiegła szybko w stronę dworu.

Karol wykrzywił wargi ironicznym uśmiechem.

— Ktoby się spodziewał — szepnął. Zdawałoby się, że to istna święta, a gotowa nam dyabelnego figla wypłatać... Miłość idealna! — zachichotał szyderczo — niestety wiem, czem się staje zawsze miłość idealna... Ale, ale, trzeba pójść drogiego papę z błogiego snu zbudzić... Nie śni mu się pewnie, co nas czeka, dzięki mojej miłej siostrzyczce przyrodniej.

Tak rozmyślając, wysunął głowę z pomiędzy gałęzi jesionu, a przekonawszy się, że Zofii już niema, cienistą aleją lipową, okrążającą park wokoło, podążył ku domowi, w którym panowała jeszcze cisza zupełna. Wszedł głównem wejściem, przez ganek; poczem po schodach, obitych dywanem, dotarł do sypialnego pokoju ojca na pierwszem piętrze.

Zapukał do drzwi raz — i drugi.

Mieczysław hrabia Wielohradzki, przebudzony pukaniem, zerwał się z łóżka, narzucił na siebie szlafrok i poskoczył do okna, aby odsłonić firanki i podnieść zakrywającą je storę.

Wpadająca do wytwornie umeblowanego pokoju jasność dzienna oświetliła ściany, obite drogą materyą jedwabną. Na jednej z nich, w ładnym układzie, wisiała broń rozmaita, starożytna, średniowieczna i nowoczesna. Wielohradzcy większą część życia spędzali zwykle zagranicą, szczególnie w Paryżu, gdzie ojciec i syn uczyli się władać szpadą u słynnych, pierwszorzędnych fechmistrzów, uważając ją za jedyną broń dystyngowaną, godną szlachcica. Więc wśród długich flint dziwirowanych, arkebuzów, maczug kolczastych, mieczy obosiecznych, szyszaków, pancerzy i koszulek druciarnych, oraz wpośród szabli, pałaszy, rapierów, strzelb myśliwskich, pistoletów i rewolwerów najnowszych systemów, dostrzedz można było dwie, pozornie skromne, do floretów podobne szpady pojedynkowe, śmiercionośnemi ostrzami utkwione dla bezpieczeństwa w korkach, owiniętych aksamitem.

Stary hrabia, rozgniewany niespodzianem przebudzeniem, zbliżył się do drzwi i otworzył je gwałtownie. Na widok syna bladego, znużonego nocą bezsenną, spędzoną prawdopodobnie przy zielonym stoliku, zawołał gromko:

— To ty, łobuzie, ośmielasz się nachodzić mnie tak wcześnie! Pewno spłukałeś się w klubie myśliwskim, więc chcesz prosić o pieniądze na zapłacenie honorowego długu. Źle trafiłeś bratku, bo i ja jestem goły. Nic nie dostaniesz... nic a nic! rozumiesz?

To mówiąc, chciał zamknąć drzwi Karolowi przed nosem, lecz ten syknął znacząco, przykładając palec do ust:

— Cicho! ciszej! niech się papa niepotrzebnie nie irytuje. Mam coś ważnego do powiedzenia w sekrecie.

Wkroczył bez ceremonii do sypialni i drzwi zamknął za sobą.

— Nie spłukałem się wcale. Przeciwnie, wygrałem około stu rubli... więc nie o mnie tu chodzi, tylko o drogiego nam obu barona Korfa, który kazał papie powiedzieć, że nie może dziś przybyć do Sielanki, pragnie bowiem przedtem raz jeszcze pogadać z papą, sądzi bowiem, że dotychczasowe wasze konferencye nie wystarczają do zawarcia stanowczego układu.

Nazwisko barona Korfa, wymówione przez Karola z pewnym naciskiem, wywarło na starym Wielohradzkim silne wrażenie.

— Czyżby się cofał? — zapytał z odcieniem obawy i niepokoju w głosie.

— Nie, nie! mój ojcze. Tak źle nie jest, nie lękaj się... Baron, jak wiesz, jest człowiekiem rachunkowym, który w racyonalnie ułożonych planach nie zdaje nic na przypadek nieprzewidziany, nie chce zatem przedstawić się Zosi, dopóki wszystkie warunki, odnoszące się do jego małżeństwa z moją siostrą, a twoją córką, nie zostaną drobiazgowo i ostatecznie przedyskutowane, poczem dopiero zawrze obowiązującą obie interesowane strony umowę.

— Zrobiłem wszystko, czego dotąd wymagał, pozostaje mi tylko upewnić się, że Zosia zgadza się na to małżeństwo. Dziś zaraz jej powiem...

— Że raczyłeś wybrać dla niej, bez jej wiedzy, pana i małżonka — przerwał Karol tonem ironicznym.

— No, tak, powiem jej to — odparł hrabia, w którego głosie dźwięczał również ton cynicznej ironii. Wprawdzie Zosia jest osóbką... mówiąc grzecznie... wcale naiwną, grzeszącą nadmiarem mieszczańskiej czułostkowości, odziedziczonej po matce, lecz jest zarazem dobrze wychowaną panienką z wielkiego świata, szanującą wolę ojca. Trzymałem ją w zaciszu naszej wiejskiej Sielanki

zdala od wszelkiego modnego zepsucia, więc idee nowoczesne samowoli i romansowości nie mogły zaiądz się w jej mózgu dziewczęcym. Zresztą Korf piękny chłop; piękny, co się zowie! Olśnić i podbić szesnastoletnią gąskę potrafi... zatem córka moja poślubi go najdalej za miesiąc. Tak chcę i tak być musi. My zaś — dodał z westchnieniem — pozbędziemy się nareszcie nieznośnych kłopotów, przygniatających nas obu strasznym swym ciężarem.

— Co do mnie, kochany papo, sądzę, że twoje piękne nadzieje nie ziszczą się tak łatwo, jak mniemasz.

— A to dlaczego, mości łobuzie?

— Bo siostrzyczka moja rozporządziła już swą naiwną osóbką.

— Co mówisz? córka moja! Zofia! miałażby mieć kochanka? To być nie może! — zawołał hrabia zdziwiony i przerażony.

— A pfe! ojczulku. Dotąd jeszcze nie kochanka w ścisłem znaczeniu, jakie do tego wyrazu przywiązujemy, lecz ma... ma kogoś, kogo kocha, a z którym... o ile mi się zdaje... nie łatwo damy sobie radę.

II.

Zofia.

Zofia zamieniła ranną bluzę na płócienną, skromną sukienkę, udatnie opinającą jej rozwijające się kształty; ustawiła na okrągłym stoliczku pod oknem bukiet róż, zwilżonych rosą i kąpiących swe świeżo odcięte od krzaku łodygi w starym, szklanym pucharze. Następnie rozłożyła tuż przy nim paletę porcelanową, pędzelki i pudełko z akwarellowemi farbami.

Cichy panieński pokoik, w którym jak w więzieniu upłynęło jej życie, wydał się dziś dziewczęciu piękniejszym niż zwykle. Nigdy słońce nie zaglądało doń tak wesoło; nigdy spłowiały kreton obicia, pokrywający jego ściany, nie posiadał dla niej tak miłych i harmonijnych tonacyj; nigdy to gniazdeczko, przyozdobione pracą rąk własnych, nie cieszyło jej oczu takim czarującym, jak dzisiaj, urokiem. Tu od lat dwóch przebywała prawie ciągle sama — bo po ukończeniu nauk, nawet guwernantkę ojciec oddalił — więc stroiła je, to haftując ładne pokrowce na meble, to oprawiając w pluszowe ramy fotografie matki, ojca i brata, to wreszcie dziergając gipiurową kotarę nad łóżko, albo firankę do okna. Siedząc na sofie pod wielkim portretem matki, malowanym przez Axentowicza, albo przy stoliku, oknie i stalugach, marzyła i pracowała na przemian. Dziś zaś malować będzie z podwójnym zapałem, bo akwarellę, przedstawiać mającą pęk róż herbacianych i cukrowych w szklanym pucharze, którą wykonać zamierza, przeznaczyła dla Zygmunta. On już tak dawno, a przytem tak ślicznie i czule prosił o obrazek przez nią namalowany, choćby nie większy od jego dłoni.

W chwili, gdy o tem myśli, patrząc w róże, wdzięcznie przez nią samą ugrupowane, rozwarły się za nią drzwi, a w nich ukazał się hrabia. Odwróciła się zdziwiona i mimowoli krzyknęła: „Papa!“

— Czy jestem niedyskretny?— zapytał uprzejmie. Czy mam się oddalić?

— Ależ nie — rzekła zarumieniona. Tylko ponieważ nie odwiedzałeś mnie, kochany papo, dawniej, więc... więc...

Postąpiła ku niemu, przejęta jakiemś uczuciem, z którego zdać sobie sprawy nie mogła, nie śmiejąc ani go objąć ramionami, ani ucałować, ani przytulić się do niego, wiedziała bowiem, że nie lubi, aby ktokolwiek psuł harmonijny układ jego wykwintnej toalety, zwłaszcza gdy był tak szykownie ubrany, jak dzisiaj. Miał na sobie długi surdut popielaty na dwa rzędy guzików zapinany, z kwiatkiem egzotycznym, wpiętym w butonierkę; pod surdutem białą kamizelkę; w lewem oku ostro osadzone szkiełko; nad wargami wąsy żelazkiem wyrównane i końcami podniesione w górę. Ledwie dotknął jej czoła przelotnem ust musnięciem; poklepał jeden i drugi rumieniący się policzek lewą ręką, a laską, trzymaną w prawej, wskazał róże, pędzle i farby.

— Przeszkadzam ci... chciałaś malować?

— Och, papo! wszakże ty nie możesz mi przeszkadzać... Zresztą, czyż ja umiem malować?

— Zbyteczna skromność! Wczoraj jeszcze mówiłem w klubie, że nasi sławni panowie artyści bazgrzą teraz ohydnie. Wolę twoje przyjemne akwarellki od dzieł tak zwanych mistrzów i profesorów. Tylko ty jesteś, jak fijołek; lubisz ukrywać swoje talenty i przymioty, które właśnie dla tego, że mnie jednemu są znane, napełniają serce moje radością.

Łzy zakręciły się w oczach dziewczęcia. Dobre słowa ojca, poraz pierwszy do niej zwrócone, rozczuliły Zofię do głębi. Chciała odpowiedzieć, lecz wyrazy ugrzęzły jej w gardle, zdławionem nagłem wzruszeniem. Chwyciła rękę Wielohradzkiego i złożyła na niej gorący pocałunek, on zaś ręki nie cofnął. Poczem, gdy córka — ciągle jeszcze roznerwowana — usiadła na krześle, zaczął przechadzać się po pokoju, wywijając w powietrzu laską o srebrnym, zakrzywionym dziobie. Perorował przytem wyniośle, lecz zarazem z odcieniem prawdopodobnie udawanej, jednak serdecznej dobroduszności.



Wyskoczyła na ławkę kamienną, stojącą pod murem

— Spoglądasz na mnie zdziwiona... Czyż mniemasz, moje dziecko, że mi jesteś obojętną?... Przyznaję, że zwykłe zachowanie się moje może ci się wydawać nieco sztywe i chłodne, lecz wyznam szczerze, że nienawidzę wszelkich głośnych objawów tkliwości mieszczańskiej. Matka twoja... zresztą pełna cnót i zalet osoba... miała słabość nieustannego, ostentacyjnego rozczulania się przy każdej sposobności. Ja zaś, chociaż tego nie umiem, myślę jednak ciągle o tobie i o twojej przyszłości...

— O mojej przyszłości? — szepnęła Zofia, przejęta nagle trwogą.

— Niestety — westchnął hrabia melancholicznie — wprawdzie pragnąłbym jak najdłużej zatrzymać cię przy sobie... bo... bo twoja obecność w domu sprawia, że mniej tęsknię za Paryżem, że pobyt w Sielance wydaje mi się prawie przyjemnym... a nadto przypominasz mi matkę, którą tak bardzo kochałem... jednakże, wobec świętego obowiązku, jakim jest zapewnienie twojego szczęścia i przyszłości, staram się zapanować nad mojem do ciebie przywiązaniem, bo widzisz moja droga, serce w naszem życiu wielkoświatowem musi być koniecznie podporządkowane rozumowi. Otóż dla tego właśnie, chociaż powtarzam, że pragnąłbym jak najdłużej zatrzymać moją Zosię przy sobie, wyszukałem ci męża, pod każdym względem wyjątkowego... słowem... świetną partyę.

— Męża, dla mnie?... Na co, drogi ojcze?

— Skrzywiłaś się, widzę — rzekł hrabia suchszym już nieco i rozdrażnionym tonem. Dlaczego niepodoba cię się myśl poślubienia człowieka pięknego, bardzo bogatego i dystyngowanego? Sądzę, że nie chcesz chyba zamknąć się na całe życie w klasztorze?

— Przepraszam cię papo — wyjąkała Zofia, przesuwając rękę po zachmurzonem czole — przepraszam, ale nie wiedziałam... nie byłam przygotowaną...

Zmieszanie córki irytowało hrabiego, mówił więc dalej tonem na wpół groźnym i na wpół szyderczym:

— Czy małżeństwo cię przestrasza?... Trzeba jednak oswoić się z myślą wyjścia zamąż i pozbyć się w tym względzie wszelkiej obawy. Człowiek, którego wybrałem, nie nosi wprawdzie, jak my, historycznego nazwiska, jest przecież, jak mniemam, dobrym szlachcicem. Posiada znaczną fortunę... Nie kładę na to zbyt wielkiego nacisku, wiem bowiem, że jesteś bezinteresowną. Prawdopodobnie jednak ocenisz należycie, że człowiek ten wyróżnia się interesującą fizyognomią i dorodną postawą, że jest dumny, że posiada silny, niezłomny charakter... a co najważniejsza, że chociaż go nie widziałaś, on jednak widział cię i pragnie cię uwielbiać...

— Któż to jest, papo? — spytała Zofia zdrętwiała od bólu, który rozdzierał jej łono.

— Baron Korf.

— Baron Korf... baron... Korf...

Powtórzyła kilkakrotnie głosem zdławionym tytuł i wymienione przez hrabiego nazwisko, lecz oczy jej, chociaż na ojca zwrócone, nie widziały go już przed sobą. Myślą uleciała daleko... tam... do Warszawy, kędy w jakiemś biurze handlowem, czy przemysłowem, pracował młody człowiek, należący do jednej z najsłynniejszych rodzin w kraju... a pracował pod przybranym pseudonimem gorączkowo, uczciwie i wytrwale, żeby zdobyć majątek, równy temu, jaki niegdyś posiadali jego przodkowie, a przez majątek osięgnąć możność pozyskania jej ręki... Teraz zaś ojciec powiada, że ma poślubić człowieka zupełnie sobie obcego i nieznanego, którego nie kocha... którego kochać nie może, bo serce swe oddała tamtemu...

— Jutro przedstawię ci barona Korfa.

— Już jutro!... Ależ ojcze, nie zastanowiłam się jeszcze...

— Ja zastanowiłem się za ciebie, to dosyć!

— Nie mogę przecież poślubić człowieka, którego nie znam!

— Czyżbyś śmiała stawić mi czoło i sprzeciwiać się mojej woli?! — zawołał hrabia, wybuchając gniewem, nad którym już nie panował.

Z energią, która w podziw wprawiła Wielohradzkiego, odparła Zofia:

— Nie możesz, papo, wydać mnie zamąż bez mego zezwolenia. Proszę cię więc, nie zobowiązuj się względem tego pana w mojem imieniu.

— Zobowiązałem się w mojem własnem... dałem mu słowo, a to wystarcza — odpowiedział hrabia tonem stanowczym. Ale powiedz mi, dlaczego odrzucasz męża, którego ci wybrałem?

— Bo... bo... — jąkała się zapłoniona.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Pochód jubileuszowy.

Niezwykły wypadek, historycznej wprost doniosłości, jakim jest sześćdziesięciolecie rządów cesarza Franciszka Józefa I., dał asumpt do szeregu projektów, zmierzających do jaknajświetniejszego i najuroczystszego upamiętnienia doniosłej w dziejach państwa chwili.

Było jednak życzeniem sędziwego Monarchy-jubilata, aby manifestacyjne uroczystości ograniczyć do minimum, natomiast zaś fundusze, które potrzebaby wydać na koszta wszelkich obchodów, przeznaczyć na cele dobroczynności publicznej. Szlachetnej woli Jubilata uczyniono zadość. Jedynym wyjątkiem stał się projekt olbrzymiego pochodu jubileuszowego, którego termin został określony na 12 czerwca.

Skoro tylko uzyskano pozwolenie Monarchy na urządzenie takiego pochodu, zawiązał się w Wiedniu komitet i rozpoczął niezwłocznie prace przygotowawcze, które z natury rzeczy wymagały współudziału wielkiego grona osób, w tem wielu najpoważniejszych i najwybitniejszych artystów.



Komitet zachodniej Galicyi: 1. prezes Włodzimierz Tetmajer, 2. Wojciech Kossak, 3. Inż. Winkler, 4. Marszałek dr. Paszkowski, 5. Henryk Uziembło, 6. dr. Stafiej, 7. St. Pachoński, 8. St. Chwastek, 9. Kijak, 10. L. Czerny, 11. Słowik.

Pochód uroczysty miał się składać z dwu zasadniczych grup, mianowicie z historycznej i etnograficznej, a każdą z nich tworzyć miały pomniejsze grupy, w pierwszej przedstawiające kolejno najdonioślejsze epoki z historyi Austro-Węgier, w drugiej poszczególne narodowości, zamieszkujące państwo.

Celem zorganizowania tego rodzaju grup, pozawiązywały się w rozmaitych krajach Austryi komitety lokalne, które w gronie swem zajęły się doborem osób i strojów, mających reprezentować odnośne epoki, względnie grupy etnograficzne.

W Galicyi.

Nasz kraj podzielony został na dwie części, na zachodnią i wschodnią, z których każda wystąpić miała w pochodzie jubileuszowym z samodzielną reprezentacyą strojów i zwyczajów ludowych.

Komitet Galicyi zachodniej miał siedzibę w Krakowie, a na czele stanęli artyści malarze: Włodzimierz Tetmajer, Wojciech Kossak i Henryk Uziembło. Przez szereg tygodni pracował ten komitet z wielką gorliwością około ułożenia programu oraz wyboru odpowiednich grup. Zdecydowano się na reprezentacyę „wesela krakowskiego" w całej okazałości tego pięknego zwyczaju ludowego, dalej na banderyę konną Krakusów, możliwie najliczniejszą, grupę górali z pod Zakopanego, oraz szereg grup z dalszych okolic zachodniej Galicyi.

Równocześnie we Lwowie projektował komitet tamtejszy, zawiązany z inicyatywy lwowskiego towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, grupy etnograficzne ze wschodniej Galicyi. Przeznaczono ku temu reprezentacyę polskiej ludności, rozrzuconej gęsto w tej połaci kraju, nietylko z okolicy Lwowa, ale i z dalekich stron, od Sambora, Sokala itd., oraz grupy malownicze huculskie z Żabiego i Kossowa. Nadto wystąpić miało w pochodzie lwowskie mieszczaństwo, grupujące się w tamtejszem towarzystwie strzeleckiem, we wspaniałych kontuszach.

Wyjazd do Wiednia.

Kraków widział też kawałek pochodu. W środę popołudniu w ulicach położonych w okolicy dworca, pełno było dziarskich Krakusów, odzianych w jasne, odświętne sukmany, w krakuski z pawiemi piórami, kręciły się też piękne, zdrowe dziewoje w swych wzorzystych, barwnych strojach. Zdążali wszyscy pieszo lub wozami na dworzec, skąd wieczór tego dnia odjechać mieli do Wiednia. Że zaś publiczność krakowska wiedziała o tem, więc ogromne tłumy zebrały się na dworcu, by przypatrzeć się odjazdowi tej oryginalnej, a tak swojskiej „delegacyi". Podziwiano zgodnie nietylko piękność strojów,

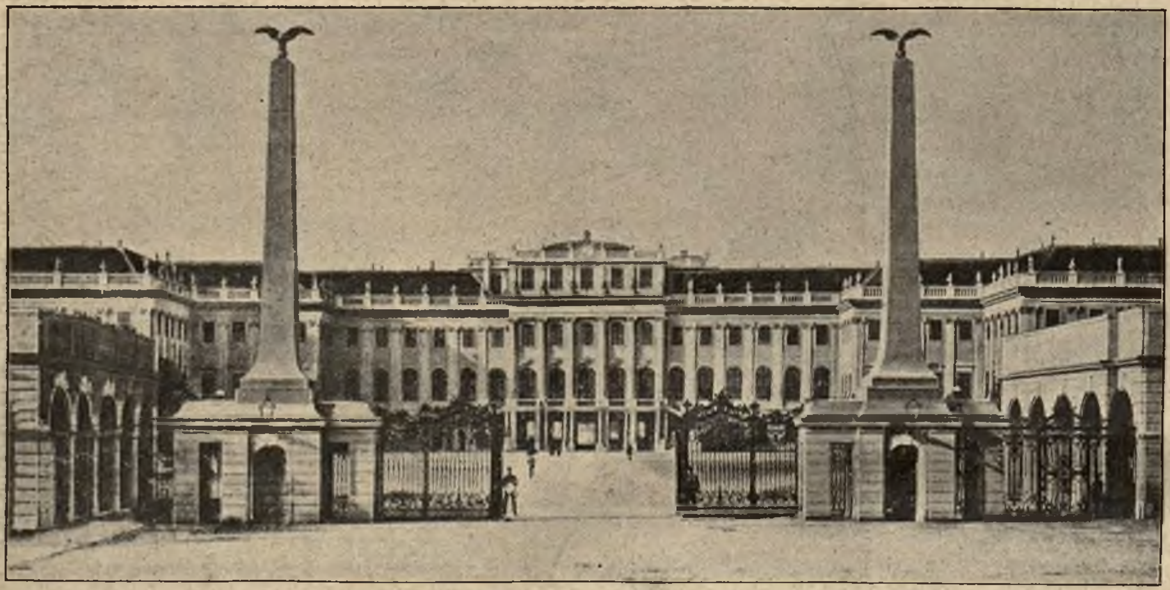


Artysta-malarz Henryk Uziembło, podczas prób z pochodu



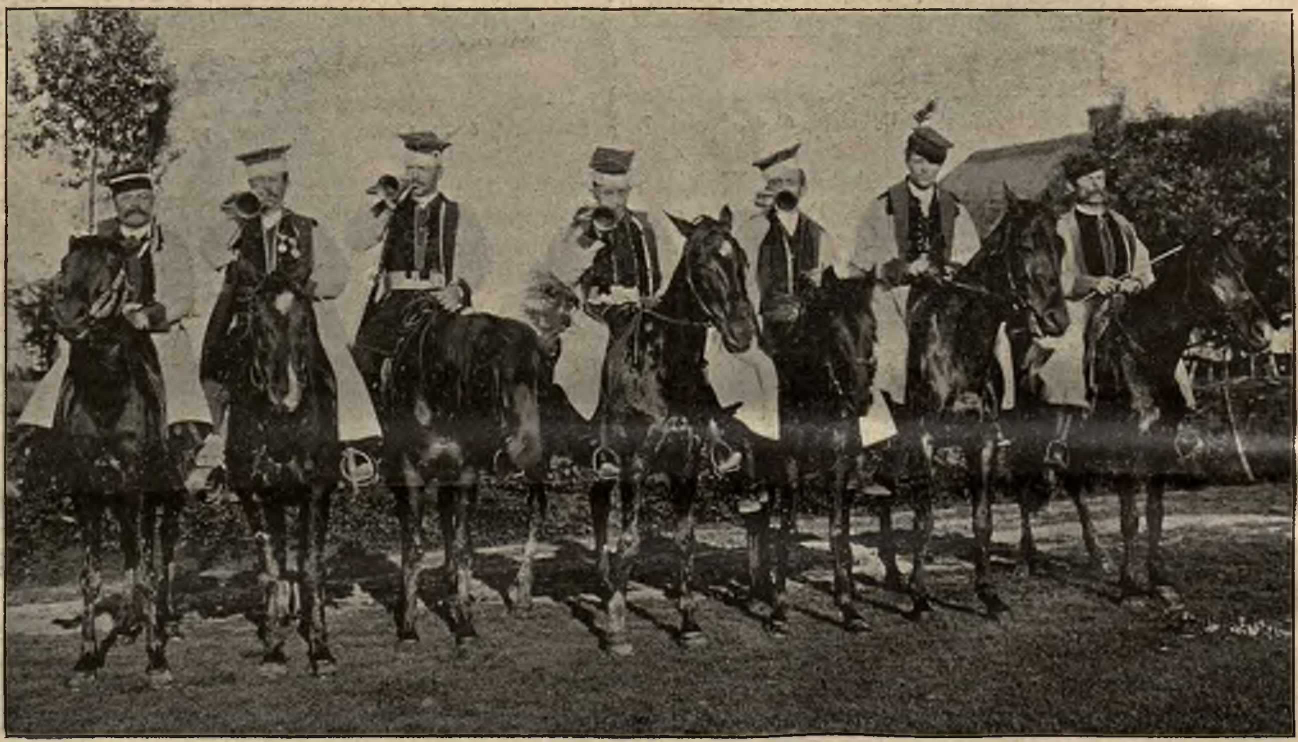
Różdżka weselna, pomysłu artysty-malarza H. Uziembły.

białe sukmany z czerwonemi lub czarnemi „potrzebami“, nietylko żupany granatowe z błyszczącemi guzikami i pasy szerokie, gęsto nabijane, ale



Zamek cesarski w Schönbrunie.

przedewszystkiem męską, dzielną, pełną fantazyi i urody postawę naszych włościan.



Trębacze jadący na czele banderyi Krakusów.

Z góry też można było przewidzieć, zwłaszcza wobec nadspodziewanie licznego udziału Krakusów, wielkie powodzenie naszej grupy w Wiedniu. Liczono też na wrażenie, jakie w Wiedniu wywrzeć były powinny urocze Krakowianki, zwłaszcza panna młoda, córka posła Ptaka z Bieńczyc, której uderzająca uroda zwracała powszechną uwagę. Jechała ona w towarzystwie kilku druchen i „starościny“, którą była pani Włodzimierzowa Tetmajerowa. Wokoło wagonu gdzie pomieszczono niewiasty, gromadziło się oczywiście najwięcej ciekawych.

Prócz Krakusów, w tym samym dniu i tym samym pociągiem jechali do Wiednia górale z Zakopanego i Poronina. Było ich 18, wszystko chłopaki gibkie, smukłe, pełne fantazyi prawdziwie góralskiej, we wspaniałych strojach. Koszule mieli białe, ozdobione wielkiemi mosiężnemi spinkami, mieli dalej stare „zbójeckie“ opaski, oraz białe cuchy. Kapelusze czarne z orlemi piórami dodawały niemało uroku pięknym ich postawom.

Jechał dalej lud z okolic Nowego Sącza, Rzeszowa, Kolbuszowy i innych stron zachodniej Galicyi. U wszystkich stroje wzorzyste, pięknością i różnorodnością mile uderzające oko. Równocześnie wyjechała orkiestra 13 p. p., która miała w pochodzie, przebrana za Krakusów, przygrywać etnograficznej grupie krakowskiej ludowe melodye polskie. Wśród dźwięków narodowych i pobożnych pieśni, okrzyków pożegnania i życzeń szczęśliwej drogi, wyruszył około 8 wieczór pociąg z dworca krakowskiego, wioząc wszystkich uczestników pochodu do Wiednia.

Przygotowania w Wiedniu.

W Wiedniu panował już od szeregu dni przed 12 czerwca ruch gorączkowy. Komitet zajmujący się urządzeniem pamiętnego pochodu jubileuszowego, rozwinął gorączkową działalność. Krzątano się pilnie około budowy szeregu trybun dla publiczności oraz pawilonu cesarskiego, projektowano rozmiary pochodu, trzeba też było pomyśleć o pomieszczeniu oczekiwanych gości, o ich wyżywieniu.

Liczono na zjazd olbrzymi; spodziewano się obcych nietylko z Austro-Węgier ale i z zagranicy. Kupcy wiedeńscy tedy słusznie kombinowali, że ich kasy poważnie się zasilą. W jeszcze wyższej mierze spodziewali się nadzwyczajnych dochodów właściciele hotelów i jadłodajni wszelakiej kategoryi. Ponieważ zaś było niepodobieństwem, by gości, którzy na dzień 12 czerwca zawitać mieli do Wiednia, można było ulokować w hotelach i zajazdach, mnóstwo rodzin prywatnych przeznaczyło na ten cel swoje mieszkania, za słone oczywiście pieniądze. Wynajmowano zaś oprócz mieszkań, także same okna i balkony przy tych ulicach, któremi pochód wedle programu miał się posuwać.

W ostatnich dniach, poprzedzających wielką uroczystość, nie mówiono w Wiedniu o niczem, jak tylko o pochodzie. Zapomniano o dyskusyi budżetowej w Izbie posłów, zapomniano o strasznej, dreszczem grozy przejmującej katastrofie w fabryce celluloidu w Ottakringu, przestano się zajmować sensacyjnem zwycięstwem „Intryganta“ ks. Lubomirskiego w „Derby“ wiedeńskiem — bo wszystko to było niczem, wobec spodziewanego i niecierpliwie oczekiwanego widowiska. Dzienniki tamtejsze wszystkie, od najpoważniejszych organów do brukowych pisemek podawały kilometrowe artykuły o najdrobniejszych szczegółach „festzugu“. Jednem słowem, zainteresowanie było olbrzymie, niepamiętne.



Wóz wiozący druchny z wesela w Bierzanowie.

Osobno zajął się komitet krakowski współudziałem Polaków w grupie historycznej, mianowicie w grupie, przedstawiającej historyę drugiego oblężenia Wiednia i odsieczy Sobieskiego. Było z tem niemało kłopotów. Niemcy bowiem, którzy nigdy nie pomijają sposobności, by umniejszyć zasługi naszego Jana III. około oswobodzenia Wie-

dnia, chcieli postać wielkiego króla w owej grupie zepchnąć na szary koniec. Komitet polski zaprotestował przeciw temu i pod zagrożeniem wycofania się z pochodu zażądał stanowczo wyznaczenia oddziałowi polskiego wojska miejsca, odpowiadającego prawdzie historycznej. Przy interwencyi ministra p. Abrahamowicza i kilku członków Koła polskiego, żądaniu temu przyrzekł centralny komitet wiedeński uczynić zadość.

W dzień pochodu.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień 12 czerwca. Pogodny, jasny, słoneczny. Więc zaroiły się od wczesnego ranka ulice Wiednia różnojęzycznym i różnobarwnym tłumem tysięcy ludności, miejscowej i zamiejscowej. Zaczęła się ze wschodem słońca ta istna „wędrówka ludów“, ze wszystkich stron olbrzymiego miasta ku tym ulicom, któremi niezwykły pochód miał wedle programu przechodzić.

Obliczenia komitetu jednak zawiodły w znacznej mierze. Przygotowano bowiem na trybunach, specyalnie w tym celu wzniesionych, 100 tysięcy miejsc numerowanych, tymczasem w dniu poprzedzającym pochód stwierdzono, iż więcej niż trzecia część miejsc na trybunach nie została rozsprzedaną. Stracił zaś skutkiem tego nietylko komitet, ale w pierwszej linii ażioterzy. Zakupili oni bowiem ogromną ilość biletów po zwykłej cenie, licząc na to, iż gdy zabraknie miejsc, ceny pójdą bajecznie w górę. Stało się jednak inaczej, ceny spadły o 50—60%, a dowcipni przedsiębiorcy potracili znaczne sumy.

Mimo jednak, iż na trybunach sporo było miejsc niesprzedanych, udział widzów był olbrzymi, idący w setki tysięcy ludzi. Pozapełniały się szczelnie wszystkie okna i balkony, a po bokach ulic ludzie stali gęstym tłumem. Podziwiać zaś trzeba wytrwałość publiczności, która na słońcu stała cierpliwie od wczesnego ranka aż do południa, oczekując zjawienia się pochodu jubileuszowego. Nie brak było i takich, którzy jeszcze wieczór poprzedniego dnia zjawili się na obranych stanowiskach z zapasami żywności w tobołkach.

W Praterze.

Tymczasem w Praterze, skąd olbrzymi pochód miał się rozwinąć i wyruszyć do miasta, panował ruch gorączkowy. Kończono ostateczne przygotowania.

Nie obeszło się przytem bez komicznych epizodów. Zwłaszcza wymarsz pierwszej grupy historycznej był utrudniony. Uczestnicy grupy, przybrani w ciężkie zbroje, nie mogli w żaden sposób wsiąść na konie, tak że wreszcie musiano wziąć do pomocy drabinki, po których dopiero „rycerze“ wdrapywali się na siodła. Jeszcze zabawniejszy był widok, gdy na tył ogromnego rumaka wdrapał się fryzyer, aby w ostatniej chwili poprawić „rycerzowi“ rozwichrzone włosy, czy perukę.

Kirasyerzy Wallensteina pojawili się w zbrojach, wypożyczonych z Burgteatru, nie umieli się jednak w nich poruszać. Tuż przed wyruszeniem pochodu zapanował niezmierny zamęt, słychać było wesołe nawoływania:

— Zdejm monokl, szlachetny rycerzu!

— Gdzie jest Rudolf „Założyciel“? Nie mogę go znaleść.

— Stoi obok i pije piwo...

Jakiś oficer kawaleryi ze starożytnego rodu czeskiego zwraca się do stojącego obok Tyrolczyka z prośbą, by mu wbił kolbą gwóźdź, wystający z hełmu. Tyrolczyk uskutecznia więc to z całą powagą.

Humorystyczny epizod rozegrał się też bezpośrednio przed wyruszeniem pochodu z Prateru. Zabrzmiały trąby i bębny, gdy nagle pies jakiś wysunął się na czoło pochodu. Żołnierze i policyanci usiłowali go odpędzić, ale nadarmo — przez całą Praterstrasse biegła psina na przodzie, co wywoływało powszechną wesołość. Nie mniejszą wesołość budziło kilku landsknechtów w... okularach.

Galimatyasz panujący w Praterze, powiększała ta okoliczność, iż zebrały się tam ludy z najrozmaitszych stron Austryi, mówiące rozmaitymi językami i narzeczami.



»Wesele krakowskie«. Na froncie wóz z orkiestrą.

Garść szczegółów.

Pomijając jednakowoż te humorystyczne epizody, stwierdzić należy na podstawie zgodnych relacyi wiedeńskich, iż całość pochodu wypadła wspaniale i wywarła wrażenie wprost imponujące. Około 12.000 ludzi w barwnych, różnego kroju i kompozycyi strojach, pieszo, konno lub na wozach, ciągnęło kilka godzin wyznaczonemi ulicami od Prateru ku Burgowi, w którego okolicy wzniesiony został pawilon dla cesarza, dla jego świty i najwyższych dygnitarzy.

Pawilon cesarski wznosił się przed bramą Burgu, w pobliżu dwu muzeów. Urządzenie jego było przepyszne. Był tam przedsionek, klatka schodowa, przestrzeń dla *cercle'u*, salon i loża oszklona, od której wychodziła otwarta tarasa. Dach pawilonu stanowiła złota kopuła w kształcie korony cesarskiej, a z niej zwieszała się wspaniała, ciężka zasłona złota.

Wewnątrz też roztoczono okazały przepych. Przedsionek ozdobiony został wspaniałymi gobelinami, salę dla *cercle'u* obito adamaszkiem w girlandy z niebieskimi dzwonkami, salon zaś białą morą. Na ścianach porozwieszano nadto sta-



»Wesele krakowskie«. Na froncie wóz z panną młodą i druchnami



Banderya Krakusów w pochodzie.

re sztychy wiedeńskie i wspaniałe dywany ozdobne, z fantazyą wreszcie porozmieszczano tam meble w stylu tak zwanym Biedermeierowskim.

Obok pawilonu cesarskiego znajdowały się trybuny dla dygnitarzy dworskich i państwowych, dla wojskowości i duchowieństwa, prasy oraz gości z zagranicy.

Poniżej tych trybun, na krzesłach ozdobionych kwiatami, siedziały gospodynie. Po stronie przeciwnej placu, w półkolu, pomieszczono amfiteatr, przeznaczony dla gości honorowych, członków ciała dyplomatycznego, sejmu, rady miasta Wiednia i przedstawicieli wyższych sfer towarzyskich. Tyły trybun stanowiły loggie, między któremi ustawiono dwanaście 24-metrowych słupów, zdobnych w bogate chorągwie.

Wejście i wyjście z placu uroczystości zaznaczono czteroma pylonami, na których umieszczono rycerzy-olbrzymów i lwy.

Droga, którą pochód miał przebyć, wynosiła 10 klm. Łatwo więc wyobrazić sobie, jakie olbrzymie masy publiczności mogły się na takiej przestrzeni zgromadzić, celem oglądania oryginalnego widowiska. Łatwo też jednak wyobrazić sobie, jak trudno było utrzymać ład i porządek wśród tych tłumów i nie dopuścić do żadnych ekscesów lub awantur.

Nad porządkiem czuwała policya, mnóstwo wojska, a prócz tego 1700 członków honorowej straży obywatelskiej. Pomyślano też o pomocy lekarskiej w wypadkach zasłabnięć i urządzono na przestrzeni, którą pochód miał się posuwać, szereg stacyj pogotowia ratunkowego. Stacye te oraz cztery główne kwatery pochodu połączone były między sobą telefonicznie. Urządzenia te były zupełnie wskazane, gdyż z powodu upału i ścisku, około 400 osób zasłabło i zemdlało.



Lud polski z Bukowiny.

Pochód rusza.

Wolno, z powagą majestatyczną sunęły jedna za drugą grupy historyczne, przypominające odległe, zamierzchłe czasy przeszłości. Zauważyć zaś należy, że aktorami części historycznej byli członkowie rodzin arystokratycznych i to niejednokrotnie potomkowie tych właśnie rodzin, które odegrały odnośną rolę historyczną.

Mniej powagi i nastroju historycznego, ale za to więcej życia i werwy widać było w grupach etnograficznych. A jaka tam nadto różnobarwność strojów, jaka rozmaitość i świeżość biła z twarzy maszerujących lub jadących przedstawicieli ludności!

Więc choć na widok poważnych rycerzy w zbrojach i hełmach, zgromadzone w ulicach i na trybunach tłumy wpadały w zachwyt i podziw, to potem, gdy zbliżyły się pełne życia grupy ludowe, zapanował wśród widzów formalny entuzyazm, który objawiał się nietylko w oklaskach hucznych, ale i gromkich okrzykach.

A pochód szedł i szedł, coraz nowe, coraz piękniejsze grupy przesuwały się przed oczyma zdumionych tłumów. Zdawało się, iż pochód niema końca. Mijała godzina za godziną a nikt wśród tysięcy publiczności nie czuł się znudzonym lub zmęczonym. Powodzenie pochodu było zadecydowane.



Nowy gmach Burgu w Wiedniu z główną bramą

Pod grozą śmierci.

Powieść.

Przełożył z angielskiego Stanisław Krzyż.

4 (Ciąg dalszy).

— Tutaj dzieje się coś nadzwyczajnego — coś bezwarunkowo wisi w powietrzu, muszę rozwiązać tę dziwną zagadkę — mruczał stary weteran, w którym obudziły się wspomnienia dawnych czynów.

VII.

Spotkanie na schodach.

Alec Forsyth zajmował przy ulicy John Street dwa kawalerskie pokoiki. Cały, stary dom zajmowały same drobne partye prywatne z wyjątkiem parteru, gdzie znajdowała się winiarnia. Skromne dochody nie pozwalały młodemu Szkotowi na mieszkanie w arystokratycznej dzielnicy, zresztą John Street leżała blisko Downing Street, gdzie znajdował się urząd, w którym pracował. W ciągu dnia cały dom był pusty, wszyscy lokatorzy byli przy swoich zajęciach, z wyjątkiem starej stróżki i naturalnie sklepu z winem. W nocy zachodził stosunek odwrotny, sklep był zamknięty i pusty, a wszystkie mieszkania zajęte przez żądnych wypoczynku lokatorów.

Wieczorem tego poniedziałku, kiedy książe Beaumanoir odwiedził był rodzinę Shermanów u generała Sadgrove, Alec siedział w domu i porządkował swoje papiery, albowiem nazajutrz zamierzał przeprowadzić się do Prier Tarrant. Właśnie zapalał lampę, gdy zapukano gwałtownie do drzwi.

Do pokoju wpadł Beaumanoir.

— A to ty — do dyabła — przepraszam — chciałem powiedzieć książe. Sądziłem, iż jesteś na wsi — mówił dalej Alec, zdziwiony nietyle pojawieniem się księcia, ile jego wyglądem.

Beaumanoir wpadłszy do pokoju poskoczył nagle ku drzwiom, obrócił klucz w zamku, zasunął rygiel, zamknął okno, spuścił rolety i ocierając chustką czoło, rzucił się na krzesło.

— Myślałem, że nikt mnie nie prześladuje — począł mówić cichym głosem — a jednak... Przedewszystkiem jednak, mój drogi Alec, proszę cię o gościnę na noc! Daj mi sofę, co zresztą chcesz, ale ostrzegam cię, iż przebywanie ze mną nie jest całkiem bezpieczne. W dodatku jestem zupełnie wyczerpany, potrzebuję towarzystwa i spokoju.

Forsyth poruszony do głębi wyglądem księcia, położył swą rękę na jego ramieniu i przemówił uroczyście:

— Pozwól — na chwilę chcę zapomnieć, iż jestem twoim oficyalistą, chcę teraz być tylko przyjacielem. Co to wszystko znaczy? Widzę, że masz na ręce małą ranę. Proszę cię, zaufaj mi i opowiedz, całą prawdę — może coś zaradzimy złemu.

Beaumanoir smutnie potrząsnął głową.

— Nie mogę opowiedzieć ci mojej historyi — rozpoczął. Mogę przedstawić ci skutki, a nie przyczyny. Od wczoraj południa godzono na moje życie, dwa, a może nawet trzy razy.

— W jaki sposób? — spytał lakonicznie Forsyth.

— W Prior Tarrant, utykający tak jak ja na nogę ogrodnik, został złapany na arkan jak pies, i dopiero wtedy puszczono go z życiem, gdy zbójcy przekonali się o omyłce, to jest, że złapali jego, zamiast mnie. W nocy zaś usiłowali mnie udusić gazem węglowym. Dostali się na dach, w kominku mojej sypialni zgasili ogień, a komin szczelnie zatkali. Zbudziłem się jednak Bogu dzięki w ostatniej chwili i wysiłkiem ostatnich sił ledwo zdołałem drzwi otworzyć.

— Trzeba było wołać o pomoc i kazać łapać tych łotrów, przecież nie mogli tak łatwo uciec z dachu — zawołał Alec.

Beaumanoir potrząsł jednak głową.

— Nie wołałem pomocy, a oni zbiegli bez najmniejszego śladu. Mój drogi Alec, są pewne powody, dla których nie mógłbym robić urzędowych zeznań przeciw tym zbójom. Z tych samych powodów i tobie więcej powiedzieć nie jestem w możności...

— Czyż dopuściłeś się jakiego występku, czy zabiłeś kogo? — spytał ponuro Forsyth.

— Przeciwnie, nie zrobiłem nic podobnego — odparł Beaumanoir. Prześladują mnie wskutek tego, iż nie chcę brać udziału w pewnej zbrodniczej sprawie.

— A trzeci napad?

— Dzisiaj popołudniu! Na drodze do twego stryja, zostałem wywrócony przez jakiś powóz, który omal mnie nie przejechał. Ale to mógł być i przypadek.

— Czy zapamiętałeś sobie woźnicę i osoby jadące?

Beaumanoir musiał przyznać, iż nie był na tyle przytomny. Myślał wtedy tylko o tem, ażeby się oczyścić i zaopatrzyć zranioną dłoń; powóz był już daleko, gdy przyszło mi na myśl, iż wypadek ten może być nowym zamachem, po dwóch nieudałych.

Forsyth w milczeniu zapalił papierosa. Puściwszy kilka obłoków wonnego dymu, rzekł:

— Tak dłużej nie może być. Jak ty myślisz, czy twoi prześladowcy nie spoczną, dopóki nie osiągną swego celu?

Beaumanoir nie odpowiedział zrazu, zdawało się, iż ten punkt widzenia jest dla niego zupełnie nowym.

Śmiejąc się nerwowo, odrzekł wreszcie:

— Nie mogę orzec nic stanowczego, sądzę jednak, iż jeżeli przetrzymam mniej więcej piętnaście dni — to znaczy do końca przyszłego tygodnia — niebezpieczeństwo minie.

Forsyth palił zawzięcie, puszczając coraz gęściejsze kłęby dymu, dwie lub trzy minuty upłynęły obydwom w zupełnej ciszy i milczeniu. Wtem od strony drzwi wchodowych dał się słyszeć delikatny szmer; książe, którego nerwy były wysoce napięte, pierwszy zwrócił uwagę na ów szelest. Forsyth pobiegł za nim wzrokiem w tym samym kierunku i obaj spostrzegli, że klamka u drzwi lekko drgnęła, widocznie ktoś zewnątrz będący — próbował, czy drzwi zamknięte.

Forsyth skinął na księcia i obaj poszli cichutko do sypialni, oddzielonej rodzajem zasłony od pokoju, w którym siedzieli. Następnie, znowu na palcach Alec powrócił do drzwi, odsunął cicho zasuwkę i błyskawicznym ruchem otworzył drzwi. Zobaczył przed sobą niskiego człowieka, który cofnął się na jego widok.

— Do dyabła — czego pan tu szukasz i niepokoisz ludzi o tej godzinie? — zapytał Forsyth opryskliwie.

— Czy mieszka tu M. Crefson? — zapytał intruz.

— Nie, w całym domu niema takiej osoby — odparł Forsyth nieco uspokojony.

Mały człowiek począł go przepraszać, usprawiedliwiając swą niedelikatność i pomyłkę ze strony aptekarza z ulicy Strand, który kazał mu spiesznie odnieść lekarstwo. Prawdopodobnie wskutek pośpiechu podał mylny numer domu. Na dowód pokazał małą flaszeczkę i kłaniając się nisko, odszedł, przyczem ciekawie zerknął w głąb pokoju.

Forsyth pozostał na schodach tak długo, dopóki ów człowiek nie znikł w sieni wchodowej. Powróciwszy do pokoju, zamknął drzwi na klucz i zasówkę.

— Głupstwo — powiedział, podnosząc zasłonę — jakiś biedny posłaniec pomylił się w adresie.

— Nie mój kochany — przerwał książe, nieco uspokojony, lecz mimo to blady na twarzy. Widziałem go chwilkę. Indywiduum to chodzi za mną, jak cień, od chwili mego wyjazdu z Ameryki: nie opuścił mnie aż do chwili spotkania się naszego w hotelu Cecil. Ma się nazywać Marker i należy do bandy zbrodniarzy.

— Ależ on okropnie nędznie wygląda — przesadzasz mój drogi — począł go uspokajać Forsyth, który sądził, iż książe wskutek silnego zdenerwowania, w rzeczach codziennych widzi ciągle swych prześladowców. Nie poznawał go dziś wcale. Ów dawny oficer huzarski, śmiałek niestraszony, Karol Hanbury, zwycięzca we wszelkiego rodzaju sportach — dziś drży i boi się nędznego jakiegoś karła.

— Ja sądzę — rzekł Beaumanoir, snując dalej wątek swoich myśli — iż został on wysłany, ażeby mnie wyszpiegować i ażeby przekonać się o mojej tu obecności.

Forsyth, usłyszawszy te słowa przystąpił, do okna i stanąwszy za portyerą w ten sposób, ażeby go z ulicy nie dojrzano, począł pilnie śledzić ruch uliczny. Na przeciwległym chodniku zauważył wkrótce człowieka spacerującego tam i nazad i przy świetle latarni poznał w nim rzekomego posłańca aptecznego.

Poczekał jeszcze chwilę, szpieg ciągle przechadzał się tam i z powrotem.

— Masz słuszność, ten człowiek stróżuje na ulicy.

— W takim razie ja pójdę stąd! Nie mogę cię przecież narażać na niebezpieczeństwo z mego powodu — rzekł Beaumanoir, biorąc swój nowy kapelusz, kupiony po wypadku z powozem.

Forsyth nie pozwolił mu jednak wstać.

— Nie masz rozumu, chociaż jesteś księciem — powiedział szorstko. Tobie potrzeba koniecznie przespać się i to zaraz, tu w tym pokoju. Marker nie jest zupełnie pewny, czy jesteś tutaj, nie opowiadałby mi mając tę pewność swoich bzdurstw tam przed drzwiami. Pochodzi trochę i nie mogąc nic wymyszkować, pójdzie sobie do dyabła. Ach! gdyby mój stryj, stary generał Sadgrove był z nami! Ale!

— Wiesz co — dodał po krótkiej chwili namysłu — mam dobrą myśl. Teraz jest godzina dziewiąta, wszyscy schodzą się w klubie! Ja pojadę na godzinę do pałacu klubowego. Ty przez ten czas zrobisz mi tę przyjemność, wyciągniesz się na łóżku, zamknąwszy naturalnie dobrze drzwi i skręciwszy gaz. Ten łotr pójdzie do tych, którzy go posłali; bo chyba nie będzie myśleć, iż ja pojechałem zamiast ciebie, gdybyś u mnie był.

— Rzeczywiście myśl niezła — rzekł Beaumanoir. Tylko Alec, bój się Boga, nie baw dłużej, aniżeli godzinę. Nie wytrzymałbym tu sam dłużej.

Forsyth zrzucił swój domowy surdut, udzielił księciu ostatecznych instrukcyj i obaj umówili się, że drzwi ma otworzyć tylko wtedy, gdy usłyszy wyraz: „Szczur“.

Marker ciągle spacerował tam i z powrotem. Nie zważając wcale na niego Forsyth przeszedł na drugą stronę ulicy i w kilka chwil później siedział w klubie.

O godzinie wpół do jedynastej Forsyth powrócił i ku swemu zadowoleniu nie zobaczył nikogo na ulicy. Przyspieszył więc kroku, ażeby jak najprędzej oswobodzić Beaumanoira. Wszedłszy do bramy, usłyszał na schodach szmer kroków i przy słabem świetle latarni, płonącej u wchodu do winiarni, ujrzał schodzących ze schodów dwóch ludzi, cicho z sobą rozmawiających. Jeden z nich był wysoki, chudy, ubrany jak posłaniec sklepowy, drugi zaś tłusty, barczysty, w wyszarzałem ubraniu i miękkim kapeluszu. Forsyth stanął w sieni umyślnie w ten sposób, ażeby nieznajomi nie mogli go ominąć. Przechodząc spojrzeli nań ukradkiem, a następnie oglądnęli się jeszcze, co zauważył dobrze. Nie byli to lokatorzy tego domu, znał ich bowiem dobrze wszystkich, a miny tych dwóch nie podobały mu się jakoś. Skacząc więc naraz po cztery schody, w okamgnieniu stanął przed drzwiami swojego mieszkania.

Zapukał, wymówił umówione hasło i machinalnie ruszył klamką. Drzwi się otwarły, nie były bowiem wcale zamknięte.

— A to co znaczy? — zawołał Forsyth, przebijając wzrokiem ciemności panujące w pokoju. Żadnej odpowiedzi. Drżącą ręką zapalił Forsyth gaz i wbiegł do drugiego pokoju — pustka. Książe Beaumanoir znikł. Forsyth powrócił do drzwi, bezwątpienia otworzono je gwałtem. Złoczyńcy wycięli otwór w drzwiach, ściągnęli rygle i tak wtargnęli do mieszkania, a odchodząc lekko je przymknęli.

— Ale, co się stało z księciem?

VIII.

Dzielna dziewczyna.

We spaniałym salonie pałacu Beaumanoir, wieczorem tego samego dnia, kończyła Sybilla Hanbury swoje samotne zajęcia, ażeby wkrótce udać się na spoczynek. Marszałek dworu, człowiek bardzo skrupulatny i uważający na ceremoniał, każdego wieczoru baczył pilnie, ażeby wszędzie kandelabry i świeczniki były zapalone, pusta więc sala tonęła w powodzi światła jak salon balowy.

Sybilla odłożyła książkę, a zastanawiając się nad swoją przyszłością, doszła do wniosku, iż nie wypada jej dłużej pozostać w tym domu. Pałac książęcy i liczna służba dla mojej osoby — medytowała — to zanadto śmieszne, osobliwie teraz, gdy prawdziwy właściciel jest na miejscu. Trzeba się wyprowadzić. Kuzyn jej, obecny dziedzic, dawał jej także dużo do myślenia. W dzieciństwie słyszała często, iż nie jest zdolny do niczego dobrego i mimo wszelkiej antypatyi jaką czuła dlań z powodu jego szlachetnego postępku wobec Forsytha, nie mogła zupełnie wyzbyć się swojego uprzedzenia. Widok jego jednak pociągał ją, zdawało się jej, iż oczy jego proszą o przyjaźń. Jej instynkt kobiecy mówił jej, że głowa rodziny zostaje pod wpływem jakiegoś udręczenia, które nęka go moralnie i fizycznie. — Wygląda mi na człowieka, który siedzi na maszynie piekielnej i czeka chwili wybuchu — myślała — bo nie wierzę, ażeby był

złym, lub też, ażeby miał przeszłość, która dręczy go wyrzutami sumienia. Ach! jakżeż pragnęłabym wiedzieć o tem co go dręczy! Alec i ja, staralibyśmy się ulżyć mu za tyle dobrego, co dla nas zrobił. Podniosła się, ażeby udać się do sypialni. W tej chwili jednak wszedł marszałek z oznakami wielkiego zaniepokojenia.

M. Prince postarzał się w służbie książąt Beaumanoir, to też nie dziw, iż pozwalał sobie nieraz na poufałość ojcowską.

— Proszę mi darować — rzekł wszedłszy — jeśli zaniepokoiłem panią, z powodu tak błahego, który mnie tu sprowadził. Na dole jest dwóch ludzi, którzy chcą widzieć się z Jego Książęcą Wysokością. Gdy powiedziałem im, iż go niema, prosili mnie, ażebym zapytał, czy pani w zastępstwie księcia nie zechce ich przyjąć.

— Ja nie wiem nic o interesach księcia, a zresztą jestem bardzo znużona. Dobranoc.

— Pani wybaczy, ale muszę jeszcze dodać, iż ci ludzie rzekli, że są ajentami z Scotland Jardu.

Sybilla przystanęła i kazała ich wprowadzić. Nie miała zamiaru wtrącać się w sprawy swego kuzyna, ale instynktowny jakiś impuls kazał jej wobec tajemnicy otaczającej księcia, zobaczyć tych ludzi i dowiedzieć się co za przyczyna sprowadza ich o tak późnej porze. Marszałek powrócił po chwili i oświadczył, że zastał już tylko jednego. Był to człowiek średniego wieku, chuderlawy ubrany niby posłaniec sklepowy.

— Pan przecież nie pozostawiłeś ich samych na dole? — spytała Sybilla półgłosem.

— Naturalnie, że nie! William był z nimi, gdy zaś zeszedłem, zastałem już tylko tego jednego. Oświadczył mi, iż kazał swemu towarzyszowi pójść do domu, ażeby pani zbytnio nie trudzić.

Na znak marszałka nieznajomy wszedł i pozostał sam na sam z Sybillą. Wręczony Sybilli poprzednio przez marszałka bilet wizytowy brzmiał: „Inspektor Chantrey. Wydział spraw kryminalnych“.

Przybliżył się krokiem niezdecydowanym, z wyrazem wielkiej uniżoności, czając się niby lis. Sybilli zdawało się, iż człowiek ten podsłuchuje pilnie każdy szmer i gotów jest każdej chwili rzucić się na nią. Skłoniwszy się, przemówił rozglądając się dokoła:

— Myślałem, iż znajdę jego wysokość w domu!...

— Powiedziano panu, iż księcia niema — odrzekła wyniośle Sybilla.

— Rzeczywiście, ale pani raczy uwzględnić, iż sługy nie zawsze mówią prawdy wobec czego sądziłem, iż jest rzeczą wskazaną rozmówić się z członkiem rodziny. Czy książe jest tu oczekiwany dziś wieczór?

— Nie! Co pan sobie właściwie życzy?

Ostry ton, z jakim Sybilla pytanie postawiła, zbił z tropu rzekomego inspektora. Popatrzył z boku na pytającą i odpowiedział:

— Chodzi nam, a właściwie my wiemy, dostaliśmy wiadomość od policyi z Prior Tarrant, iż popełniono tam zamach na jednego ze służących. Policya tamtejsza przypuszcza, iż zamach był skierowany w rzeczywistości przeciw księciu i polecono nam telegraficznie przeprowadzić w tym kierunku śledztwo.

Wyjaśnienie to było wielce prawdopodobne, ale czy pośpiech był tak konieczny, czy sprawa była tak pilną, ażeby o tej godzinie niepokoić ludzi, takie pytanie przeleciało przez głowę Sybilli i niezdecydowana wyrzekła:

— Niewiem w jakim kierunku mogłabym być panu pomocną, zwłaszcza, że niemam żadnego pojęcia o całej tej sprawie.

— Ja chciałem się tylko upewnić, że księcia niema w pałacu. Poinformowawszy się u najlepszego źródła, przepraszam panią i proszę przyjąć moje uniżone podziękowanie i uszanowanie — rzekł nieznajomy, cofając się ku drzwiom.

Ledwie jednak posunął się dwa lub trzy kroki, otwarły się drzwi i marszałek wygłosił uroczyście:

— Jego wysokość książe pan...

Beaumanoir bardzo blady stanął przed Sybillą. Gdy rzekomy inspektor policyi chciał doń przemówić, rzekł krótko:

— Czego pan tu szukasz?

Ajent powtórzył słowo w słowo powód swojego przybycia.

Książe słuchał niecierpliwie.

— Tak jest — zdarzyło się coś podobnego w Prior Tarrant. Ale to wszystko nie uprawniało pana do urzędowania o godzinie jedenastej w nocy w cudzym domu. Pańscy przełożeni jutro będą wiedzieli o tem najściu.

Obcy zmienił się teraz do niepoznania, znikła z jego twarzy wszelka uniżoność, a wyraz jej stał się niejako groźnym, co nie uszło uwadze Sybilli.

— Przepraszam i życzę dobrej nocy waszej książęcej wysokości.

Książe odprowadził gościa do schodów i polecił marszałkowi, ażeby towarzyszył mu aż za bramę. Powróciwszy ujął Sybillę za rękę i rzekł głosem, w którym przebijało się wielkie zaniepokojenie:



Złożysz pan swoją broń! — rozległ się głos księcia.

— Droga moja kuzyno, jestem niepocieszony, iż wpuściłaś tutaj tego człowieka. Szczęście wasze, że przybyłem tutaj w tej chwili. Przyszedłem zaś, ażeby widzieć się z Alecem, który lada chwila tu nadbiegnie.

— Ależ to niemożliwe — odparła z uśmiechem Sybilla. On — taki poprawny dżentelmen — przecież nie przyjdzie z wizytą o godzinie jedenastej w nocy, choćby do narzeczonej.

— A ja ręczę ci, że zobaczysz go za kilkanaście minut; musimy się widzieć, a chciałbym go upewnić, że nic złego mi się nie stało, i że stanowczo wyjadę na kilka dni na morze... Zawiadomię go później o czasie, kiedy będę potrzebował jego usług, jako sekretarza... To wszystko. A teraz wypada mi odejść.

W głosie Sybilli powstał zawrotny chaos, nie mogła zoryentować się w sytuacyi. Wszakże książe, o ile pamiętała, miał zamiar spędzić noc u Aleca, skądże więc ta nagła zmiana, ten dziwny, gorączkowy pośpiech.

— Skoro Alec ma nadejść, lepiej będzie tutaj go oczekiwać, przecież w pałacu waszej książęcej wysokości znajdzie się łóżko i dla właściciela.

Dalszym przedstawieniom położył kres marszałek, który ciągle jeszcze przestraszony, zaanonsował:

— Pan Forsyth.

Forsyth wleciał — w całem tego słowa znaczeniu jak bomba do pokoju i ucałowawszy w przelocie rękę narzeczonej, zawołał do księcia:

— Bój się Boga — czemuś porzucił kryjówkę? Narobiłeś mi tyle strachu. Gdy zobaczyłem puste łóżko, wprost struchlałem!

— Nie miałem sumienia wystawiać cię na niespodzianki, które mogłyby cię spotkać przezemnie, jako podziękowanie za udzieloną mi gościnę. Wyniosłem się i przypuszczając, że będziesz mnie szukał, przybyłem umyślnie tutaj, ażeby cię upewnić, iż jestem zdrów i cały... aż do tej chwili.

— Czy nikt cię nie niepokoił przed opuszczeniem mojego mieszkania?

— Nie. Ale dlaczego pytasz o to?

— Bo tam ktoś był, widocznie po twojem odejściu i Forsyth opowiedział o otwarciu drzwi jako też o spotkaniu na schodach dwóch ludzi — jednego ubranego dość elegancko, a drugiego w ubraniu podobnem do posłańca sklepowego.

— Podobny do posłańca — zawołał Beaumanoir, zapominając o obecności Sybilli. Mój drogi Alec, wiedz, iż śmierć była niedaleko odemnie — nawet tu w tym salonie. Ów człowiek był tu przed chwilą jako inspektor kryminalny, naturalnie, chyba fałszywy.

Sybilla siedziała jak na rozżarzonych węglach, myśl jej pracowała usilnie, starając się przeniknąć tajemnice niebezpieczeństwa, grożącego jej szlachetnemu kuzynowi. Powiedział, iż śmierć była od niego niedaleko, tu w tym salonie jasnym, w pobliżu wiernych sług, nie, to niemożliwe! Więc książe dlatego chciał przed chwilą opuścić ten salon, a może i pałac, ażeby jej nie narażać na niebezpieczeństwo.

— Mój drogi kuzynie, uspokój się i udaj się na spoczynek. Nie puścimy cię stąd nigdzie — rzekła miękkim, proszącym głosem, a Forsyth przyłączył się do prośby Sybilli.

— Niema co długo się namyślać, spoczynek jest teraz najpotrzebniejszy. Nie bądźże książe taki uparty. Inspektor kryminalny chyba nie odważy się powtórnie zakłócić spokoju tego domu. Książe wypoczniesz należycie, uspokoisz nerwy, a jutro będziemy dalej radzić.

— Jeśli książe krępując się moją obecnością tutaj — rzekła Sybilla — nie usłucha mojej prośby, ja w tej chwili opuszczam pałac i wyprowadzam się w nocy do hotelu.

Beaumanoir uległ wreszcie namowom i postanowił pozostać i celem wydania odpowiednich dyspozycyj wyszedł do drugiego pokoju.

— Czy ów rzekomy inspektor kryminalny odszedł? Jesteś pan tego pewny? — spytał książe starego sługi. Odprowadziłeś go pan naturalnie aż do samej bramy?

— Tak jest i bramę za nim sam zamknąłem wasza książęca wysokość. Poświadczyć to może pan Forsyth, który czekał chwilę przed bramą, zanim ją otwarto.

Beaumanoir uspokojony powrócił do salonu.

— Moi drodzy — rzekł — wszystko znalazłem w porządku, zostaję więc tutaj, ale tylko na dzisiejszą noc. Ach, jak ja pragnąłbym wyjaśnić wam moje położenie... ale niestety... jeszcze pora nie nadeszła.

— A więc poczekamy — zakonkludował Forsyth. Czy mogę pozostać z tobą?

Książe chętnie przyjął propozycyę i Sybilla poszła do swojej sypialni, zarządziwszy przygotowanie dwóch pokoi.

Mężczyźni napili się po kieliszku whisky i w milczeniu zapalili papierosy. Alec nie chcąc denerwować księcia nie zadawał mu żadnych pytań — pragnął ażeby się uspokoił i snem pokrzepił. Po krótkiej chwili pożegnali się u progu swoich pokoi, położonych na pierwszem piętrze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pochód jubileuszowy.

Rozwinięcie się pochodu.

Była godzina w pół do ósmej rano, gdy pierwsza grupa opuściła bramy Prateru i przez Praterstern podążyła ku Burgowi. Poprzedzało ją dwudziestu trabantów. Droga wiodła przez Praterstrasse, Aspernbrücke i przez Ringi, pod wspaniały pawilon cesarza.

Dział historyczny.

Zaraz za trabantami postępowała grupa z czasów Rudolfa z Habsburga. Protoplasta rodu jechał na czele oddziału wojska niemieckiego. Przodem jechało na koniach ośmiu heroldów, którzy pochód otwierali.

Tuż za nimi posuwała się grupa z czasów Albrechta I. Przedstawiała ona rycerską wyprawę mieszczaństwa wiedeńskiego celem oblężenia zamku rycerza-rabusia („raubrittera“).

W trzeciej z rzędu grupie widniała postać Rudolfa VI. „Założyciela“, powracającego z małżonką w otoczeniu orszaku na swój zamek po położeniu kamienia węgielnego pod kościół św. Szczepana w Wiedniu. Szesnastu trabantów w strojach historycznych dźwigało na noszach model historycznej świątyni.

Następna grupa przypominała czasy cesarza Ferdynanda III. Wybrano w tym celu scenę wymarszu na turniej.

Bardzo ożywioną była grupa piąta z rzędu, przedstawiająca pamiętną w dziejach Austryi chwilę podwójnego wesela wnuków cesarza Maksymiliana I. Widać tam było cesarza Maksymiliana w lektyce, otoczonego dworzanami w malowniczych kostyumach oraz żołnierzami pieszymi. Za Maksymilianem niesiono w lektyce króla Czech i Węgier, Władysława Jagiellończyka, za którym konno jechał król polski Zygmunt Stary. Za monarchami posuwał się wspaniały powóz, a w nim obie oblubienice: Anna węgierska i Marya austryacka. Dalej postępowały szeregi dzieci szkolnych w białych ubraniach, ze sztandarami krajów austryackich i węgierskich, panie i panowie konno, poselstwo weneckie, oraz rękodzielnicy w strojach starożytnych.

Dalsza grupa odnosiła się do pierwszego oblężenia Wiednia przez Turków. Był to obraz ówczesnych wojsk austryackich, które brały udział w obronie miasta.



Fragment grupy »odsieczy Wiedeńskiej«

Grupę siódmą stanowił pochód wojska z końca XVI. wieku. Na czele wódz, marszałek polny Łazarz Schwendi, poprzedzany przez flecistów, tamborów, chorążych. Wojsko składało się z przedstawicieli wszelakich ówczesnych rodzajów broni.

Następnie uwidoczniono dwa momenty z wojny trzydziestoletniej, a mianowicie wjazd kirasyerów i przemarsz wojsk cesarskich.

Z kolei pojawiła się grupa dziewiąta, nas najżywiej interesująca, bo przypominająca drugie oblężenie Wiednia przez Turków 1683 r., upamiętnione świetną odsieczą Sobieskiego. W grupie tej na pierwszym planie widać było postać cesarza Leopolda I. i króla polskiego Jana III. Scena przedstawiała chwilę wjazdu obu monarchów w miasta. W pochodzie brali udział w tej grupie nadto żołnierze ówczesnych wojsk regularnych, książęta związkowi, zbrojni studenci, polscy husarze, polskie wojsko, ochotniczy oddział zbrojnych obywatelek, działa zaprzężone w woły i tłum ludzi.

Grupa następna odnosiła się do czasów Karola VI., a przedstawiała księcia Eugeniusza i oddział jego armii.

Z kolei ukazała się grupa czasów Maryi Teresy. Złożyły się na tę grupę trzy obrazy. Pierwszy przedstawiał uroczyste przewiezienie kapelusza arcyksiążęcego do wiedeńskiego Burgu w dniu 21 listopada 1760; drugi uroczystość dworską w Schönbrunie z lat 1743—56, mianowicie przejazd dam dworskich i dostojników dworskich; trzeci sielankę i występ baletu dworskiego. Epizodem obrazu trzeciego jest scena przywiezienia wiadomości o zwycięstwie pod Kolinem. Na czele tej grupy 3 poczmistrzów i 22 pocztylionów, za nimi zaś nadporucznik bar. Vetés z pułku arcyksięcia Karola. Obraz pierwszy miał za wykonawców członków rodzin arystokratycznych, między nimi wnuczkę cesarza ks. Windischgrätz—sielankę i balet przedstawiali artyści Burgteatru.

Czasy z wojny siedmioletniej uprzytomniała grupa dwunasta. Na czele grupy za heroldami i tamborami, jechał konno marszałek polny Laudon, ze świtą, przedstawioną przez potomków ówczesnych jenerałów. Dalej reprezentanci pułków, które w czasie wojny się odznaczyły.

Grupa następna, to czasy Józefa II. Bardzo malownicza, a odmienna od innych w tej części pochodu, bo nie było tam marsowych postaci żołnierskich, zbroic lub hełmów, lecz grono wieśniaków, uczestników uroczystości dożynek wiejskich i winobrania.

Wojenny epizod z dziejów Austryi przypominała grupa czternasta, odnosząca się do czasów Franciszka I. i jego wojny z rzeczpospolitą francuską. Były tam oddziały wojska, które brały udział w wojnach z Napoleonem I. przed jego wyprawą do Egiptu.



Przemówienie burmistrza dr Leugera. Na tarasie cesarz Franciszek Józef I. w otoczeniu arcyksiążąt i świty

(Ciąg dalszy na str. 15).

Z ŻYCIA DNIA

(Edward i Wilhelm. — Komiwojażer polityczny. — Król Edward płata Prusakom figle. — Zjazd w Rewlu. — Demencya »Diła«. — Śmieszny protest klubu ruskiego. Strejk ojców. — Kamikuła w Krakowie).

„Ustatkował się" — mówiono i pisano, gdy król Edward VII., objąwszy po zmarłej matce swej, królowej Wiktoryi, rządy nad Anglią, zaczął wieść przykładny żywot. Co prawda, król Edward, wziąwszy berło do ręki i gronostaje na plecy, był już bardzo dojrzałym człowiekiem, miał — powiadając popularnie — swoje latka, ale królów, podobnie jak zwyczajnych śmiertelników, często nawet starość nie chroni przed wybrykami, co można zauważyć na królu belgijskim Leopoldzie. Więc tedy król Edward zerwał przed sześciu laty z podejrzanymi przyjaciółmi i jeszcze więcej podejrzanemi przyjaciółkami, wyrzekł się zielonego stolika i chodzenia za kulisy, przestał urządzać wycieczki do Paryża i zatrzymał z dawnych czasów tylko jeden urząd: pozostał i nadal „magister elegantiarum".

W owych czasach, niedawno, bo przed pięciu mniej więcej latami, cesarz Wilhelm, który już dawno panował nad Niemcami i wygłosił setki mów, aczkolwiek jest znacznie młodszy od swego kuzyna angielskiego — w owych tedy czasach Wilhelm zapragnął gwałtownie nawiązać z królem Edwardem serdeczne stosunki rodzinne, a z Anglią równie serdeczne stosunki polityczne. Spaliło jednakże na panewce, pomimo że Wilhelm narzucał się Edwardowi ze swoimi afektami, Niemcy zaś czynili to samo wobec Anglików za przykładem swego pana. Co więcej król Edward zaczął płatać figle Prusakom. Wybrał się w podróż do Francyi, wybrał się następnie w podróż na morze Śródziemne, oczywiście nie po to, ażeby w Paryżu zaglądać za kulisy teatralne, a w Hiszpanii lub Włoszech oceniać wdzięki niewieście.

Berlin srodze zaniepokoił się i wybuchnął jadem. Dzienniki tamtejsze z ogromnym nakładem złośliwości zaczęły dowodzić, że król angielski, który przez długie lata jako następca tronu zajmował się tylko lekkiemi sprawami, nie dorósł jako król do poważnych czynów politycznych. Król Edward — wołało z przekąsem jedno z pism berlińskich — zrobi fiasko jako polityczny komiwojażer.

Tymczasem Edward utorował drogę do „entent cordiale" pomiędzy Anglią z jednej strony a Francyą i Hiszpanią z drugiej, zbliżył Francyę do Hiszpanii, a wreszcie zdołał tak nastroić Włochów, że chociaż należą do trójprzymierza, podczas konferencyi w Algeciras, obradującej nad sprawą marokańską opuścili Prusaków i stanęli po stronie Francyi. Była to znana włoska „extratour" w tańcu dyplomatycznym.

Berlin pienił się ze złości, zaś król Edward, jadąc trzykrotnie do Marienbadu przez ziemię pruską, dwa razy pominął zupełnie jej gospodarza, cesarza i króla Wilhelma, z którym dopiero za trzecim razem raczył się widzieć z koniecznej grzeczności. Prusacy schowali pazury w swej lisiej pokorze i pochlebiając Anglikom, wysyłali do nich po kolei w odwiedziny to dziennikarzy, to kupców, to wreszcie pastorów. Anglicy goście pruskich częstowali porterem, szampanem i zdawkowymi toastami — nic ponadto. Mimo to Prusacy zdawkowe liczmany pokazywali światu jako szczerozłotą monetę szacunku, jeżeli nie przyjaźni.

Tymczasem „komiwojażer polityczny" pracował nad nowym figlem dla Prusaków. Odosobnił ich gruntownie od zachodu, postanowił więc odosobnienie rozciągnąć i na wschód. I oto nagle rozeszła się wiadomość o zjeździe króla Edwarda z carem w Rewlu, a więc na wodach rosyjskich. Berlin zaniepokoił się na dobre, ale, nadrabiając miną, usiłował wmówić w świat, że ten zjazd niema wielkiej wagi politycznej, gdyż król Edward, który po wstąpieniu na tron odwiedził wszystkich monarchów z wyjątkiem cara, musi teraz wobec niego wykonać zwyczajny akt grzeczności pod postacią odwiedzin. Okazało się rychło, że zjazd rewelski miał wielką doniosłość polityczną. Wtedy Berlin znowu zaczął nadrabiać miną i oświadczył, że w Rewlu dyplomaci rosyjscy i angielscy porozumiewali się tylko w sprawach azyatyckich i w sprawie macedońskiej.

Prusacy powiedzieli prawdę, ale nie całą. Oprócz owych spraw, goście angielscy niewątpliwie poruszyli także wewnętrzne sprawy rosyjskie, na które niestety Prusacy i Niemcy rosyjscy tak silny, a tak zgubny wpływ wywierają. Angielski sekretarz stanu Harding na dwóch konferencyach z Izwolskim, a sam Edward na konferencyach z carem, a potem z Izwolskim poruszyli z pewnością kwestyę rządów konstytucyjnych w Rosyi, a prawdopodobnie i sprawę polską, to jest Królestwa Polskiego. To właśnie przeraziło wprost Prusaków.

Oddana im ciałem i duszą „Neue Freie Presse" wygadała się fatalnie, przypomniawszy Rosyi, że podczas jej wojny z Japonią, bagnety pruskie nad granicą polską pełniły służbę w zastępstwie wojska rosyjskiego. Jakie zaś przerażenie zapanowało w Berlinie świadczy fakt, że dla uspokojenia cesarza Wilhelma wysłał car do niego osobnego kuryera z listem, który ma być plastrem na ranę, zadaną przez rękę angielską.

Może jeszcze przedwczesną jest rzeczą mówić o wyzwoleniu się Rosyi z pod zgubnych wpływów niemieckich, ale w każdym razie zjazd w Rewlu już zachwiał nieco przyjaźnią pomiędzy Berlinem a Petersburgiem. Król Edward, wujaszek Wilhelma, odznacza się cierpliwością i zimną krwią, a pierwszy krok dla Rosyi jest najtrudniejszym. Przyjdą może dalsze kroki, ale nie wiodące już do Berlina. Oby się to jak najprędzej spełniło. Anglia, zagrożona zaborczą ekspanzywnością Niemców, nie spocznie z pewnością, aż ich wreszcie zupełnie odosobni. A potem przyjdzie może czas na porachunek.

Pomówmy o innych naszych „najserdeczniejszych", o Ukraińcach, szczycących się protekcyą prasy pruskiej. Organ ich „Diło" twierdzi, że najwyższy Trybunał sądowy w Wiedniu, ulegając wpływom polskim, nie zgodził się na delegacyę pozakrajowego sądu dla sprawy Siczyńskiego, który stanie przed sądem przysięgłych we Lwowie. Po steku obelg i kłamstw powiada „Diło" z całą hajdamacką ślepotą: „Jeżeli już na tem samem miejscu, gdzie absolutny rząd austryacki powiesił Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, musi koniecznie stanąć szubienica dla Siczyńskiego, to niechaj dzisiejsi włodarze Galicyi pamiętają, że na mogile Wiśniowskiego i Kapuścińskiego wyrosła siła polska".

A siła ruska ma wyrosnąć na Siczyńskim? A tacy ludzie, jak Wiśniowski i Kapuściński mają stać w jednym rzędzie z takiem indywiduum, jak Siczyński? Czy jest możliwą polemika z taką demencyą? Bo przecież największa perfidya musi być podszyta rozsądkiem, w przeciwnym razie staje się śmieszną. Ukraińcy od chwili zamordowania namiestnika dyskredytują się całą siłą — my w tej robocie nie będziemy im przeszkadzać. Żal nam tylko ludu ruskiego, który musi płacić moralne i materyalne koszta tej zabawy, a raczej orgii szału i nienawiści.

Wogóle Rusini mają do nas ciągle dzikie pretensye. Nawet pochód jubileuszowy w Wiedniu dał im sposobność do protestowania. Mianowicie klubowi ruskiemu w Radzie państwa nie podobało się przedewszystkiem to, że grupa zachodnio-galicyjska była dwa razy liczniejsza od grupy wschodnio-galicyjskiej, chociaż — jak powiada klub ruski — Polacy tworzą tylko jedną trzecią część kraju. Dalej nie podobało się klubowi ruskiemu, że w grupie wschodnio-galicyjskiej Rusini byli w znikomej mniejszości, gdy ze strony polskiej wystąpiło lwowskie Towarzystwo strzeleckie, a za niem postępowali włościanie polscy z Podola, jako uczestnicy dożynków. Z tego powodu klub ruski oświadczył, że przedstawicielstwo Galicyi w pochodzie jubileuszowym było „sfałszowane" i „uroczyście" przeciwko temu zaprotestował.

Czy klub ruski, uchwalając ten protest, nie czuł niebotycznej śmieszności jego. Rzeczywiście dzienniki wiedeńskie unosiły się nad malowniczością wesela krakowskiego i nad dziarskością banderyi Krakusów. Rzeczywiście te same dzienniki wymieniły z pochwałami banderyę samborską pod wodzą Ziemniaka i dożynki z pod Sokolnik, a wprost z uniesieniem opisywały pochód lwowskiego Towarzystwa strzeleckiego. Król kurkowy p. Rylski na koniu, obok niego pp. Bieniecki i hr. Borkowski, również na koniach, które prowadzili giermkowie, dalej p. Ciuchciński, prezes Towarzystwa i prezydent miasta Lwowa, podobnie jak poprzedni na koniu, wszyscy zaś w przepięknych strojach polskich, wywołali niekłamany podziw. A teraz zapytujemy, kto bronił Rusinom wystąpienia w podobny sposób?

Jeżeli Polacy nie szczędzili ani trudów, ani bardzo znacznych na ten cel kosztów, to Rusini mogli przecież to samo uczynić. A jeżeli tego nie uczynili, to śmieszną jest rzeczą z tego powodu podnosić zarzuty przeciwko Polakom. Gdybyż przynajmniej zarzuty owe podniósł ktokolwiek, byle nie klub ruski, przedstawicielstwo narodu ruskiego. Tak się ośmieszać...

Naostatek podzielił się kronikarz z Czytelnikami „Nowości Illustrowanych" wiadomością, nikomu dotąd nieznaną, nawet c. k. Biuru korespondencyjnemu, które swoją drogą opowiada nam takie historye, że np. w pewnej kopalni amerykańskiej trzej górnicy odnieśli rany, a nie wie o tem, co się dzieje w Królestwie Polskiem. Otóż otrzymałem wiadomość, że ojcowie strajkującej młodzieży akademickiej w austryackich uniwersytetach zamierzają urządzić strajk powszechny wzorem swoich synów.

Strajk polegać będzie na tem, że ojcowie solidarnie zobowiążą się do nieposyłania swoim synom pieniędzy na pierwszego. Byłby to jeden z sympatyczniejszych strajków, byle tylko przyszedł do skutku. Albowiem dzisiaj ojcowie muszą słuchać synów.

Jeszcze jedno naostatek, ale już na prawdę ostatnie. Przerwana chwilowo kanikuła powróci z pewnością wkrótce, to też zasobniejsi mieszkańcy Krakowa zaczynają coraz więcej opuszczać miasto nasze. Za kilkanaście może dni „Tout Cracovie" znajdzie się w Zakopanem, Krynicy, Szczawnicy, no i częściowo w zagranicznych kąpielach. Że tego roku nie będzie Polaków w niemieckich „badach" o tem nie wątpimy ani na chwilę. Rozjadą się ludziska także w inne okolice, mniej „fashionable". Jeden osiędzie pod Kalwaryą, drugi w Myślenicach, trzeci pod Babią górą, czwarty w Żegiestowie, piąty w Jerzmanówce, a niejeden w Rudawie, albo w Czatkowicach. Ale to już nie jest „tout Cracovie".

Mniejsza o ten spór. Stoimy w obliczu kanikuły i obliczamy, ile litrów potu wydzielą nasze ciała podczas upalnych dni lipca i sierpnia. Na szczęście pocenie się jest bezpłatne, gdyż władze podatkowe nie wymyśliły dotąd „potomierza", na wzór magistrackich wodomierzy dla stwierdzenia, czy Krakowianin nie zużył wody ponad taksę 4 halerzy od korony. Pocenie się tedy jest bezpłatne, podobno zdrowe nawet, ale wielce nieprzyjemne.

Podczas kanikuły przychodzi także epidemiczne ziewanie, jako wyraz nudy. Wszystko nam zaczyna powszednieć, nawet stolik pod drzewem w letniej kawiarni. Beznadziejna nuda po żmudnej pracy. Kto zaś niema pracy, ten nudzi się rano, w południe i wieczór, nudzi się przez całą noc, na wzór Napoleona III.

h. j—e.



W grupie następnej maszerował arcyksiążę Karol na czele oddziałów, które poprowadził do zwycięstwa w r. 1809. Widać było historyczne działa, które o zwycięstwie rozstrzygnęły.

Dalej pospolite ruszenie tyrolskie z tego samego roku. W oddziale zastęp tyrolskich chłopów, uzbrojonych w topory, samopały i kosy, otaczających sztandar oryginalny, którego używano w walkach Andrzeja Hofera.

Dwie następne grupy dały obrazy pokojowe. W siedmnastej widok cesarza w Praterze, z czasów kongresu wiedeńskiego, a w ośmnastej sceny z życia ulicznego w latach 1830—1840, jako to powrót wieśniaków z targu, poczta eskortowana przez jeźdźców, pierwszy omnibus, wóz komedyantów itd.

Ostatnia w tej części grupa przypominała znowu czasy wojenne. Armia Radetzky'ego. Starego feldmarszałka przedstawiał w grupie jego prawnuk, hr. Józef Radetzky. Grupa maszerowała przy dźwiękach popularnego marsza Radetzkye'go.

W tym dziale pochodu, w hołdzie przeszłości, złożonym Monarsze jubilatowi, było kilka grup ogromnie interesujących, a pod względem artystycznym wspaniałych. Były to te grupy, gdzie występowały liczne orszaki w pięknych kostyumach, działające już samą masą i jej różnobarwnością. Do takich należała n. p. grupa, przedstawiająca wesele wnucząt cesarza Maksymiliana I., interesująca nas o tyle, iż brał w niej udział król polski Zygmunt Stary, przedstawiony w pochodzie przez Włodzimierza hr. Ledochowskiego. Jesze większe zainteresowanie, a i wrażenie, wywołała grupa odsieczy Wiednia w czasie drugiego oblężenia Turków. Tu uwagę ogólną zwracali polscy husarze pancerni z królem Sobieskim na czele, imponujący szumiącemi skrzydłami i długiemi lancami.

Hołd mieszczaństwa.

Tuż za grupami historycznemi postępowały deputacye wiedeńskich cechów ze sztandarami, chorągwiami i godłami. Deputacye wiedli przełożeni cechów.

Grupa ta stanowiła niejako przejście z działu historycznego do działu etnograficznego.

Pochód grup narodowościowych.

Pochód jubileuszowy w dalszej swej, etnograficznej części, wywarł jeszcze większe wrażenie, niż w dziale historycznym. Bo na umysły widzów działała tu wielka liczba uczestników w każdej grupie, życie z nich bijące, jakaś świeżość i naturalność. Było tam bardziej swojsko i swobodnie, niż w otoczeniu „dumnych“ rycerzy.



Fragment z »wesela krakowskiego«. Pan młody poprzedzający konno wóz z drużbami.

Pochód narodowości rozpoczęła grupa z Czech, ale nie czeska. Czesi bowiem od udziału się usunęli. Zjawili się więc Niemcy z Czech, okazując swoje zwyczaje ludowe, z weselem i dożynkami. Grupa dalmacka zgromadziła reprezentantów ze wszystkich części kraju w oryginalnych strojach narodowych.

Dalej zjawiła się grupa ze wschodniej Galicyi. Tu zwracali uwagę głównie Huculi na koniach w swych pięknych strojach ludowych. Było dalej ochocze „wesele“ z Sokolnik pod Lwowem, polski lud z pod Sambora i z okolicy Sokala. Zamykali tę grupę członkowie lwowskiej „Strzelnicy“, w wspaniałych kontuszach, z karabelami u boku. Mieszczaństwo lwowskie wystąpiło tu z całą okazałością i tą okazałością wprawiło w niemały podziw Wiedeńczyków.

W dalszym ciągu przesunęły się przed oczyma widzów grupy: dolno-austryacka i górno-austryacka, poczem pojawiła się najpiękniejsza ze wszystkich: grupa krakowskiej ziemi.

Nie jest to zdanie stronnicze, nie jest opinia widzów Polaków, ale ogólna. Przyznali to Niemcy, przyznały pisma wiedeńskie, nawet wrogie wszystkiemu, co polskie. Takie także było zdanie cesarza, który ogromnie pochlebnie wyraził się o tej grupie i nie krył głębokiego wrażenia, jakie ona na nim wywarła.

Ale bo też i było co widzieć i czem się zachwycać. Przyczyniła się do tego przedewszystkiem zwarta, dziarska i pełna fantazyi banderya konna Krakusów i malownicze weselisko, złożone z artystycznie, a jednak na ludowy sposób ustrojonych pięknych wieśniaczek i dorodnych chłopców. Z grzmiącą pieśnią „Bartoszu, Bartoszu!“ przeciągały liczne zastępy Krakowiaków ulice, wywołując bezustanne, frenetyczne oklaski, za które dziękowali, kłaniając się krakuskami z pawiemi piórami. Już z założenia liczną banderyę, pomnożono w ostatniej chwili jeszcze znacznie, tak że zaćmiła ona luźne, często z rzadka rozsiane grupy innych krajów koronnych. Krakowiaków prowadził poseł Ptak. Długi szereg umajonych wozów, pełnych weselnych gości, zapowiadał się już zdala dalekonośnem echem turkotu kół. Potem rozbrzmiały wesołe, swobodne pohukania Krakusów i dźwięczny śmiech co piękniejszych druchen krakowskich. Na wozie oblubienicy jaśniała smukła postać panny Ptakównej w bogatym stroju, która rozdzielała nieustannie ręką ukłony publiczności, witającej obraz entuzyastycznymi okrzykami. Oblubieńcem był malarz p. Uziembło. Mknęły wozy z gośćmi weselnymi prawie bez końca, a każdy przedstawia inny malowniczy obraz. Drużbowie powiewali czapkami, druchny, śmiejąc się radośnie, powiewały chusteczkami ku widzom. Także butni nasi górale zakopiańscy kroczyli



Grupa Huculów z pod Żabiego przed pawilonem cesarskim.

dumnie z ciupagami w ręku przez „Ringi“, które nie pamiętają jeszcze takich przybyszów. Biło z ich szeregów poczucie siły, przemyślne oblicza górali jaśniały radością; góralki aż pokraśniały od głośnych pochwał, idących z pośród publiczności.

Najwspanialszą zaś była scena, gdy banderya Krakusów przegalopowała przed pawilonem cesarskim, wznosząc okrzyki: „niech żyje!“

Dalszy ciąg pochodu stanowiły grupy: salzburska, styryjska, karyncka, kraińska, śląska, bukowińska, morawska, istryjska, tryesteńska, oraz tyrolska. Tu na wzmiankę zasługuje grupa z Bukowiny, bo i tam było sporo włościan polskich.

Przemówienia.

Pochód piątkowy miał też część oficyalną, a były nią przemówienia, z jakiemi do cesarza zwrócili się: honorowy prezydent komitetu pochodowego hr. Wilczek, rzeczywisty prezydent dr. Klotzberg i burmistrz Wiednia dr. Lueger. Po ostatnich słowach burmistrza zabrzmiały w całem mieście wszystkie dzwony kościelne, a zebrane tłumy wzniosły okrzyki na cześć cesarza.



Lwowskie Towarzystwo strzeleckie z prezydentem Ciuchcińskim na czele.

Ogólne wrażenie.

Pochód jubileuszowy udał się tedy najzupełniej, może nawet przerósł oczekiwania bardzo śmiałe. A cieszyć się możemy z tego, iż współudział Polaków wypadł tak wspaniale, tak imponująco. Zasługa to komitetów galicyjskich, ich pomysłowości i sprężystości — i za to należy im się uznanie.



Fragment z grupy »odsieczy wiedeńskiej«.



Fragment z grupy, przedstawiającej wesele wnucząt Maksymiliana I.

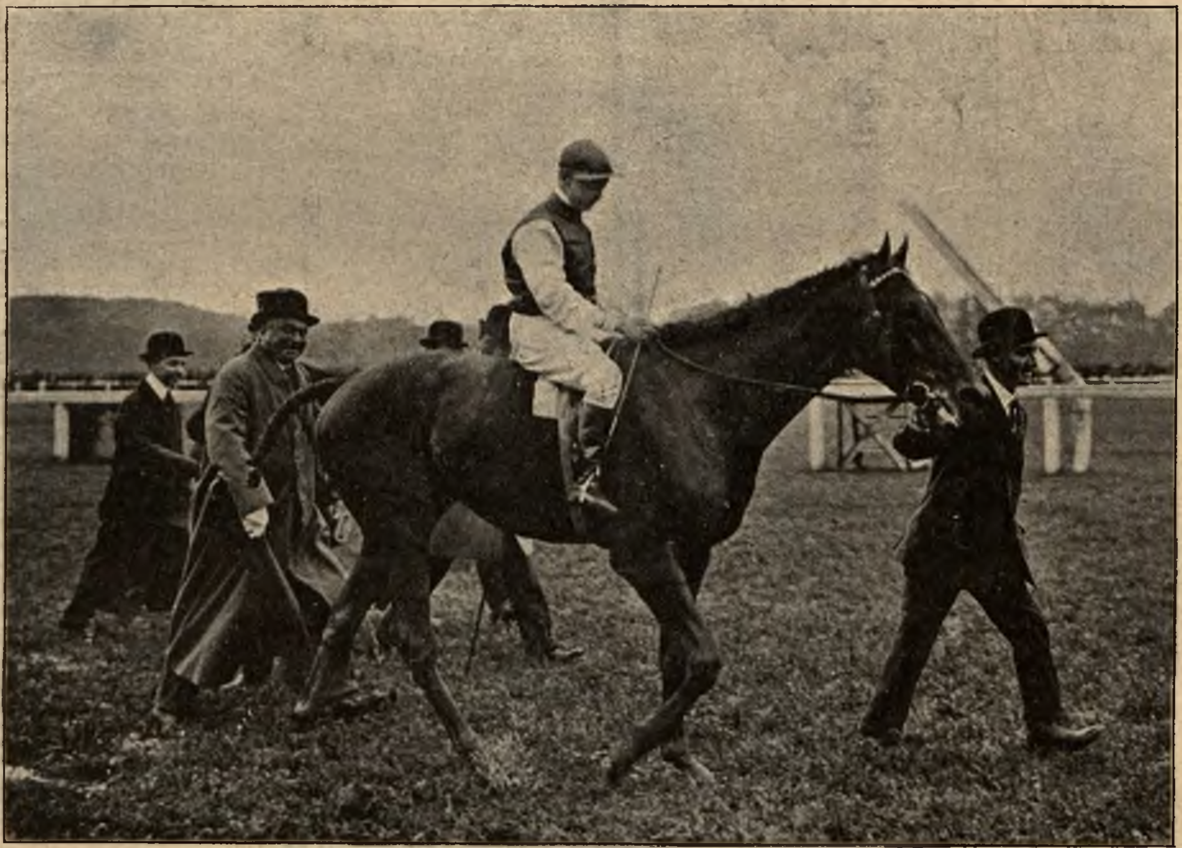
„Zwycięstwo“ polskiego konia.

Od lat przeszło stu na wszystkich torach wyścigowych świata całego odbywają się około Zielonych świąt biegi zwane „Derby“, które w kole sportsmentów wywołują zazwyczaj niezwykłe zainteresowanie. Dnia tego bowiem stają do startu konie młode, trzyletnie, które od urodzenia przeznaczono do wyścigów i w tym celu trenowano, w biegu więc tym walka rozgrywa się nie tyle o nagrodę, zwykle bardzo wysoką, ile o wykazanie wyższości jednej stajni nad drugą.

Wyścigi te, które zaprowadził po raz pierwszy przed stu dwudziestu ośmiu laty w Anglii lord Derby, wskutek czego imieniem jego nazwano ten bieg, rozpowszechniły się w całym świecie i obecnie stanowią *clou* życia sportowego w wiosennym sezonie.

Polskie stajnie, pomimo swych wzorowych urządzeń, do tej pory bardzo rzadko wysyłały swe konie na biegi „Derby“ i nigdy jeszcze nie zdobyły pierwszej nagrody na zagranicznym torze.

W tym dopiero roku książęta Lubomirscy, którzy od dłuższego już czasu szczycą się znakomicie prowadzoną hodowlą koni w Kruszynie, w Królestwie Polskiem, wysłali swego „Intryganta“ na „Derby“ wiedeńskie. Austryaccy sportsmeni polskiemu rumakowi nie wróżyli żadnych nadziei, wszyscy bowiem byli pewni zwycięstwa jednej z pruskich stajen, licznie reprezentowanych w Wiedniu. Wyścig jednak dowiódł mylności ich rachub, wykazując w całej pełni doskonałość kruszyńskiego ogiera. „Intrygant“ przyszedł pierwszy do mety, pozostawiając daleko za sobą resztę swych współzawodników.



»Zwycięstwo« polskiego konia: »Intrygant«, zwycięsca w wiedeńskiem »Derby«, własność ks. Lubomirskich z Kruszyny.

Zwycięstwa polskiego rumaka, który przyniósł swym właścicielom sto tysięcy koron nagrody, nie mogli znieść spokojnie posiadacze zdystansowanych koni, składając winę przegranej na różne postronne okoliczności, jak n. p. rozmokły grunt, co w większej jeszcze mierze wykazuje właśnie sprawność „Intryganta“. Hakatystyczne zaś gazety, aby nie przyczynić się do rozgłosu polskiego imienia, nazywają ks. Lubomirskich rosyanami.

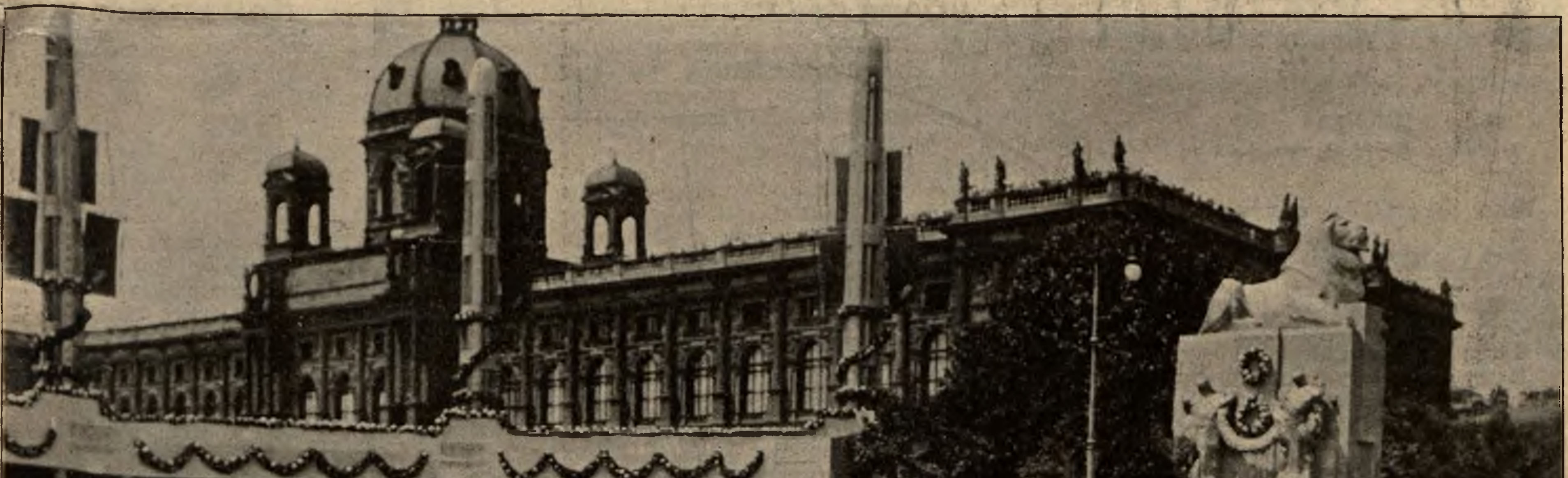
Ks. Lubomirscy nagrodę rozdzielili między dżokeja a trenera, zatrzymując dla siebie ośmset tysięcy koron, wygranych w zakłady.

Piotr Stermicz.

W ubiegłym tygodniu rozpoczęły się w teatrze krakowskim przedstawienia lwowskiej trupy operowej i operetkowej. Rozpoczęły się „Halką“ Moniuszki, tą starą a zawsze nam miłą operą polską, zawsze świeżą i pełną niewypowiedzianego uroku.

Już to pierwsze, inauguracyjne przedstawienie jest bardzo pomyślną wróżbą dla dwumiesięcznego sezonu operowego, jest zapowiedzią jak najlepszą, wypadło bowiem — bez przesady twierdząc — nadspodziewanie udatnie i składnie.

Jednogłośne zaś jest zdanie, iż zasługa to w pierwszej linii nowego kapelmistrza lwowskiej opery, Piotra Stermicza, który ujął w swą dzielną rękę pałeczkę kapelmistrzowską pod sam koniec sezonu we Lwowie i w krótkim czasie zdołał zdezorganizowaną cokolwiek — choć zawsze dosko-



Wesele chłopskie z Sokolnik pode Lwowem.

nałą — orkiestrę oraz chóry postawić na poziomie prawdziwego artyzmu. Dzięki temu opery przestały być popisami gwiazd, a dawały słuchaczom artystyczną całość.

* * *

Nowy kapelmistrz jest z pochodzenia Dalmatyńcem, a pełne jego nazwisko brzmi Piotr Stermicz, Edler von Valczociata. Urodził się w Zarze, a po ukończeniu gimnazyum w rodzinnem mieście wyjechał do Wiednia, gdzie poświęcił się studyom nad muzyką. Początki wyniósł z domu, a udzielał mu ich ojciec, człowiek wysoce muzykalny i wykształcony. Konserwatoryum wiedeńskie ukończył r. 1889, a ukończył je świetnie, odznaczony pierwszą nagrodą, jednogłośnie przez komisyę egzaminacyjną przyznaną. Następnie wyjechał do Włoch, gdzie w kilku miastach pracował na stanowisku kapelmistrza operowego. Powodzenie towarzyszyło mu wszędzie ogromne, to też gdy w roku 1896 zorganizowano wielkie *tournée* operowe włoskie do Petersburga i Moskwy, powierzono Stermiczowi odpowiedzialne stanowisko kapelmistrza.

W czasie tego *tournée* dyrygował raz Stermicz orkiestrą w zamku cesarza rosyjskiego, na specyalne zaproszenie dworu.



Piotr Stermicz.

Od r. 1899 aż do jesieni 1907 przebywał Stermicz w Warszawie, w tamtejszej operze, i dał się poznać jako niepospolity organizator i korepetytor chórów oraz dzielny, wytrawny kapelmistrz. Powołany obecnie do opery lwowskiej, przybył z trupą do Krakowa i przez cały sezon prowadzić będzie przedstawienia operowe.

* * *

Do osoby kapelmistrza Stermicza przywiązuje muzykalna publiczność duże nadzieje, wiadomo bowiem, jak doniosłą rolę odgrywa w operze indywidualność kapelmistrza. A że przybył tu z opinią i renomą jak najlepszą, że w Krakowie pierwszym swym występem zjednał sobie poklask i uznanie, więc spodziewać się można, iż w ciągu sezonu, dzięki Stermiczowi, wyniesiemy z gmachu teatralnego dużo podniosłych, artystycznych wrażeń.

Rękojmię daje tu nietylko wielki, ogólnie uznany talent Stermicza, ale i jego głębokie wykształcenie, jego rutyna i wieloletnie doświadczenie, zdobyte w czasie pobytu we Włoszech, w cesarstwie rosyjskiem i Warszawie.

Tego rodzaju zalety i warunki, kwalifikują kapelmistrza Stermicza jako muzyka i artystę pierwszorzędnej wartości.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

13 Ciąg dalszy.

— Proszę być zupełnie szczerym — rzekł sędzia Maran.

— Niech pan niczego nie obwija w bawełnę — rzekł Haller.

— Otóż sądzę, że drukarz Fredi Sandtnera nie zabił. Tu brak należytej pobudki czynu. Gdyby chciał dopuścić się rabunku, to byłby na to wybrał inną porę. Taki przebiegły, doświadczony łotrzyk, nie byłby poprzestał na porwaniu pularesu. Maskę i pulares znalazł, to pewne. Co do Zofii Strobel, to mowy o tem być nie może, aby jakiekolwiek stosunki łączyły ją z takim urwiszem. Pokojówka w bogatym domu, dziewczyna skromna, dość inteligentna, nie zawierałaby znajomości z obszarpańcem, nie pierwszej młodości, brzydkim, którego tylko wstydzićby się musiała. Trzeba znać ambicye pokojówek. Nie sądzę też, aby Zofię otruto, mnie się zdaje, że ona sama się otruła. Morderca nie byłby zostawiał szklanki z resztą trucizny, a gdyby ją nawet zostawił umyślnie dla upozorowania samobójstwa, to w jakim celu przychodziłby w kilka dni potem do mieszkania swej ofiary? Przecież zastano Zofię Strobel w pozycyi spokojnej, naturalnej, jaką widzieć można u człowieka, który sam się położył. Na jej ciele nie było żadnego śladu jakiegoś ugniecenia, co byłoby niezawodnie, gdyby ją morderca albo żywą przewrócił i wlał w usta truciznę, albo otrutą już na łóżko cisnął. Wszystko przemawia za samobójstwem.

— No, a Gerlach? — zapytał Moran.

— Ależ i ten nie jest mordercą.

— Ależ jego zachowanie się, ukrywanie.

— Ba! To rzecz zupełnie naturalna. Dowiedział się od siostry, że na nim ciąży podejrzenie, ona go nawet o zbrodnię posądzała, więc bał się, aby nie padł ofiarą. Przecież nikt nie chce oddać głowy pod topór dobrowolnie, a zwłaszcza niewinny. Jego zeznania były bardzo szczere. Wszakże Sandtner wołał do telefonu, „czarna maska..."

Kiedyż tę maskę Gerlach mógł założyć? Ella zeznała, że go doprowadziła do drzwi pokoju wuja i że maski na sobie nie miał, a zatem mógłby ją założyć dopiero wtedy, gdy wszedł do pokoju. To musiałby Sandtner spostrzedz, boć usłyszawszy, że ktoś drzwi otwiera, niezawodnie zwróciłby się ku nim. Byłby poznał siostrzeńca i mordowany nie telefonował „czarna maska", jeno „Gerlach". Teraz proszę i to sobie przypomnieć, że Ella słuchała pod drzwiami i słyszała początek rozmowy. Czy Sandtner byłby zapuszczał się w rozmowę z człowiekiem zamaskowanym? Za pierwszem słowem byłby się zerwał i za rewolwer pochwycił, lub na służbę zadzwonił. Zamaskowany zbrodniarz mógł wejść nagle, niespodzianie i bez słowa rozmowy rzucił się odrazu na swoją ofiarę. A wreszcie jaki motyw zbrodni? Jeżeli Gerlach chciał okraść wuja, to nie byłby poprzestał na porwaniu pularesu, który znał i wiedział, że w nim Sandtner tylko papiery przechowuje, a nie pieniądze. Przecież i to chyba rozważył, iż taka zbrodnia zgubi go na zawsze, a nie pomoże w niczem. Że uciekł przez okno, to nie dziw. Nie chciał być widzianym przez nikogo, a usłyszał kroki. Gdzie, skąd? Z przedpokoju tylko mógł je usłyszeć, boć wiemy, że Merk wchodził z salonu, a Costa przez bibliotekę. Ich kroków byłby nie dosłyszał, bo i z jednej i z drugiej strony idzie się po dywanach i deptakach, a tylko w przedpokoju odkryta posadzka. Otóż Gerlach usłyszał czyjeś kroki w przedpokoju i to były kroki mordercy. Gdy obliczymy dokładnie czas, to musimy tak sobie rzecz wyobrazić. Gerlach usłyszał kroki prawdziwego mordercy i uciekł oknem. Sandtner machinalnie spojrzał za nim przez okno, popchany mimowolnym odruchem nerwowym i odwrócony był od drzwi. W tej sekundzie wpadł zamaskowany zbrodniarz, pochwycił pulares, bronzowym lichtarzem rozbił głowę Sandtnerowi i wyskoczył przez okno. Sandtner ostatnim wysiłkiem zwrócił się do telefonu i skonał. W tej chwili wszedł Merk, a w dwie minuty po nim Costa. Ten nieznany morderca był w pozozumieniu ze Zofią Strobel, ona go tajemnie wprowadziła, ona mu rzecz ułatwiła i dlatego natychmiast opuściła służbę. Był to jej kochanek, boć tylko dla kochanka mogła dziewczyna tak się narażać. Morderca przyszedł do niej, przeglądał i popalił znalezione w pularesie papiery. Zofia się otruła, nie mogąc znieść wyrzutów sumienia, że pomogła zamordować swego chlebodawcę, a może... przekonała się, że w tem była jakaś pomyłka, którą papiery wyjaśniły. Takie moje mniemanie. Aby się wywdzięczyć za ten zaszczyt, którego od panów doznałem, wyszukam wkrótce istotnego mordercę. Dziękuję panom, czas mi w drogę, do roboty.

Skłoniwszy się uprzejmie, wyszedł Lindner, zanim sędzia i komisarz opamiętali się po wrażeniu, któremu ulegli, słuchając rozumowań niepospolitego agenta.

XIX.

Przez trzy dni nie było widać Lindnera. Haller i Maran schodzili się codzień w biurze i wyczekiwali go z gorączkową niecierpliwością. Nie mówili nic o sprawie, ale każdy z nich o niej myślał, każdy z coraz większą zawziętością upierał się w duszy przy swojej kombinacyi i pocieszał się nadzieją, że Lindner ją potwierdzi.

Czwartego dnia około południa, gdy już mieli biuro opuścić, wszedł Lindner, spokojny jak zwykle...

(Dokończenie nastąpi).

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności.

Szarada.

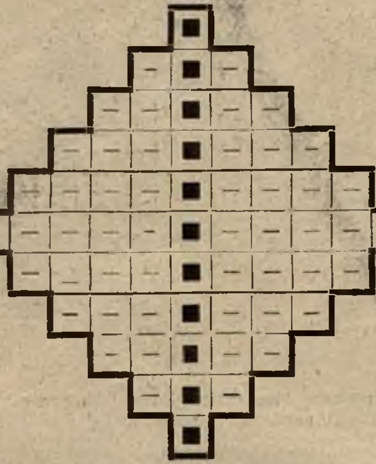
Ułożył C. Fiajlkiewicz.

Pierwszem ja zwykle braci tytułuję,
Również przyjaciół także tak mianuję,
Drugie oznacza głębokość wody,
Całe lubi stary i młody
Całe do fajki się nakłada
W ten sposób byłaby gotowa szarada.

Logogryf.

Ułożył L. B. z Morawicy.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły imię i nazwisko wielkiego kaznodziei polskiego.

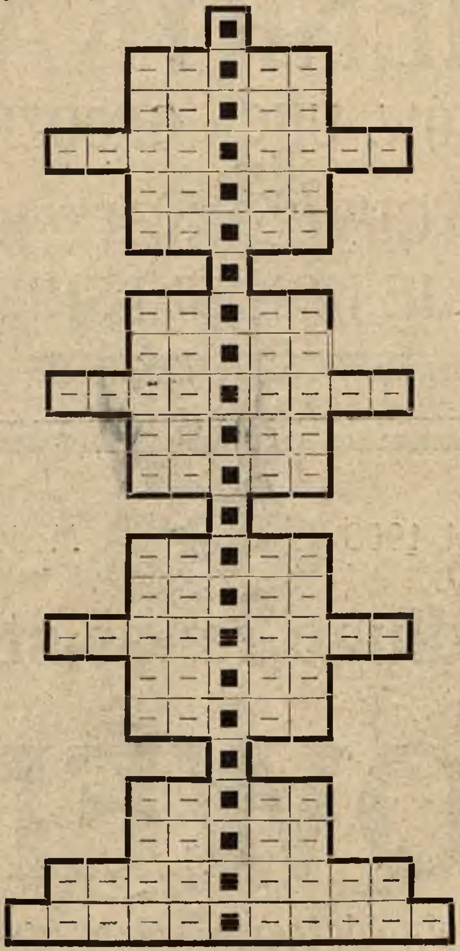


Znaczeni wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzecz używana przy szklarstwie. 3. Miasto w Galicyi wschodniej znane z wyrobu zapałek. 4. Rodzaj młyna. 5. Rzecz używana przy szyciu. 6. Rzecz naprawiona. 7. Inaczej podziemie. 8. Imie hebrajskie. 9. Bogini płodów. 10. Pospolite imie żeńskie. 11. Samogłoska.

Logogryf.

Ułożył Henryk Kowalski z Mogiły.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko malarza polskiego,



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Kwiat jesienny. 3. Podziałka na przyrządach miary. 4. Budowla przy kościele. 5. Tłuszcz ciekły. 6. Naczynie kuchenne. 7. Spółgłoska. 8. Imię żeńskie. 9. Wół stepowy. 10. Miasto nad rzeką Odrą. 12. Sygnał niebezpieczeństwa. 12, Miejsce kąpielowe we Francyi. 14. Dopływ Rodanu. 15. Rodzaj mniejszego statku. 16. Państwo bez króla. 17. Inaczej gusła. 18. Wieś na Podolu. 19. Samogłoska. 20. Imię męskie. 21. Ksiądz włoski z XIX. wieku, założyciel ochronek dla dzieci. 22. Monarcha absolutnie rządzący. 23. Imię męskie słowiańskie.

Łamigłówka.

Ułożył E. II.

Kwadraty i cyfry zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów utworzyły polskie przysłowie.

■	■	■	■	■
2	18	9	■	7
16	5	■	10	7
22	■	14	21	7
■	11	6	9	19
■	■	■	■	■
10	13	4	■	7
19	15	■	6	13
12	■	8	17	23
■	13	20	11	16

Znaczenie wyrazów: 1. Przymiotnik oznaczający dobroć. 2. Wysoki budynek. 3. Odłam góry. 4. Dęty instrument muzyczny. 5. Przekop podwodny. 6. Dawna moneta polska w 2-gim przypadku. 7. Narzędzie sportu zimowego. 8. Rośliny pnące lasów podzwrotnikowych. 9. Materya wybuchowa 10. Choroba zakaźna.

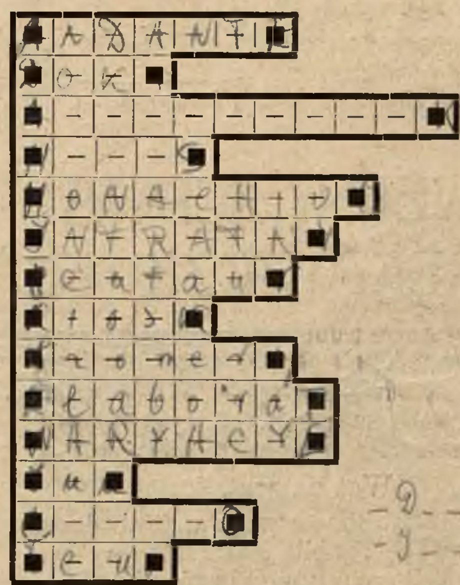
Szarada.

Ułożył M. Czeczółka Limanowa.

Pierwsze z drugiem, służy za okrycie drzewa,
Pierwsze z trzeciem, często ból dotkliwy sprawia,
Wszystko razem do ozdoby używają
Ale więcej na wsi, niźli w mieście mają.

Logogryf.

Zastąpić kwadraty i kreski literami w ten sposób, by utworzyć 14 wyrazów, których początkowe litery czytane pionowo z góry na dół utworzyły imię i nazwisko sławnego poety polskiego, zaś końcowe czytane z dołu do góry tytuł jego utworu jednego.



Znaczenie wyrazów: 1, Termin muzyczny dla oznaczenia tempa. 2. Warsztaty okrętowe. 8. Łaciński wierszyk liryczny. 4. Bożek żartu i szyderstwa. 5. Miasto w Bawaryi. 6. Inaczej zyskowny. 7. Bajeczny potwór. 8. Pałac po turecku, 9. Linie łączące miejsca o jednakowej średniej temperaturze letniej. 10. Inaczej wypracowanie. 11. Przemiana w muzyce. 12. Dopływ Dunaju. 13. Port w Ameryce południowej. 14. Główny bóg grecki.

Za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dzieło Wilhelma Feldmana: »Współczesna literatura polska«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 23

Szarada.

Europa

Zagadka literacka.

Zygmunt Przybylski, Banasiowa, Wicek i Wacek

Logogryf.

Pol Wincenty, Wit Stwosz.

Zagadka

Jan Kasprowicz, Miłość

Logogryf.

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Arytmogryf.

Sztuką barany tłuką.

Logogryf.

Adam Asnyk.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: A. Rotter Stanisławów, F. Niepokój Krosno, R, Czaplicki Kraków, O. Górkowa Chyrów, F. Kopystyński Lwów, Kwapiński Równe, R. Jaworski Kraków, E. Miarkowska Przeworsk, J. Gomulińska Bóbrka, M. Rożański Libusza, W. Stanula Samocice. W. Małeski Chorzelów, A. Bocsoń Bóbrka, E. Katarzyńska Kraków, A. Jerin Częstochowa, K. Fuchs Czeremchów, J. Pieniążek Lwów, S. Kubacki Piotrków, M. Stachowicz Kraków, J. Diehl Stryj, A. Mikosiewiczowa Krzywe, A. Woyde Warszawa, E. Wieczorkowa Kraków, I. Wielgus Wadowice, A. Rojek Lwów, K. Tarkowski Kraków, A. Biliński Tarnopol, W. Masiuk Dębniki, F. Majewska Kraków, J. Polkowski Wilno, M. Grodzicka Dębniki, B. Leszczyński Borysław, H. Kijeńska Łódź, J. Januszewski Podgórze, J. Możdżeński Wiedeń, J. Nowicki Włocławek, Z. Wojtkowska Tarnopol, J. Dobrzelewska Warszawa, F. Karczewski Kraków, K. Siennicki Lwów, Z. Gaudnik Stary Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. K. Tarkowski Kraków. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Wet za wet.

Na zebraniu towarzyskiem pani domu przez nieuwagę zgubiła jeden sztuczny ząb i pomimo usilnych poszukiwań nie mogła go znaleźć. Na drugi dzień jednak dostaje od jednego z gości pudełeczko i list następującej treści:

„Łaskawa Pani! Będąc obecnym na zebraniu u pani, przypadkowo znalazłem pani ząb i pospiesznie odsyłam go właścicielce“.

Przeczytawszy to, uradowana, otwiera czemprędzej pudełeczko i — o dziwo! — znajduje w nim ząb ale... wołu... Zirytowana, chwyta za pióro i natychmiast odpisuje:

„Szanowny Panie! Że mi Pan ząb odeślesz, byłam mocno przekonana, ale żebyś pan do tego stopnia posunął swą życzliwość, wyrywając ząb sobie, tego nie przypuszczałam“...

Na ulicy.

On: Pozwoli pani, żebym się z nią zapoznał?

Ona: Jeżeli się pan nie oddalisz, to natychmiast mnie poznasz.